# TRZY POKOLENIA.

Wśród lasów które po dziś dzień długiemi smugami czernią się na płaszczyznach naszych, stał w r. 1816 we wsi Rożkowie obszerny dwór, widoczny zdala wysokim starodawnego kształtu dachem, na którym niby budki rzędem przyczepione stały dość niesymetrycznie, pomalowane na czerwono faciatki. Jednych okna były opatrzone szybkami, świadcząc tém że wychodzą z pokoi mieszkalnych, u drugich gdzie niegdzie papier szkło zastępował, a były i takie, co całkiem okien nie miały i już opustoszeniem swém zaczęły przypominać ruderę. Bardziéj jeszcze podstarzałe wyglądało wnętrze domu od jego powierzchowności. Najobszerniejszą komnatą była sala jadalna z ceglaną, tu i owdzie powybijaną posadzką, z licznemi portretami kontuszowéj szlachty, w popękanych i zczerniałych ramach. Pokój sypialny saméj jéjmości miał wprawdzie adamaszkowe jedwabne obicie, ale jego karmazynowa barwa była tak spłowiała, jak wspomnienia rodowych zasług tego domu. Nie sądźcie jednak że zabieram się malować wam we właścicielce téj włości, starościnie Z. jakąś zalotnicę ze Stanisławowskich czasów, kończącą smutnie w tém ustroniu żywot niegdyś za nadto wesoły, ale też i niepodobna mi tutaj rozpisać się o cnotach prababek, bo nie wszystkie starościny bywały niestety! owemi cichemi świętobliwemi matronami, których nieprzestają stawiać nam na wzór moraliści, jako wędzidło na śmiałe zachcianki kobiet dzisiejszego wieku. Próżność i samolubstwo pojawiają się podobno w każdym wieku i w każdéj płci, a one wygórowały nad wszystko we wspomnianéj przez nas starościnie, słodką pokorną nigdy nie była, gdyż jak twierdzono, umiała dzielnie tupać na śp. męża, gdy ją zniecierpliwił, cichą zaś bywała wprawdzie, ale to wtedy tylko kiedy jadła, kiedy drzémała, co z wzrastającym wiekiem zdarzało się coraz częściéj, kiedy liczyła pieniądze, których mówiąc nawiasem, więcéj zawsze wchodziło, niż wychodziło z jéj biórka, oraz kiedy układała w głowie planiki jakiéj intryżki, mającéj przynieść jéj korzyść, powtarzała bowiem, prawie tak często jak litanją, przysłowie: „kiedy nie można przeskoczyć trzeba podleźć.“ Z resztą była to sobie dosyć lubiona w okolicy



Panna Agnieszka odczytała dość gładko list....

kobiecina. Trzymała kilka sierot na wychowaniu, używała sławy wielkiéj pobożności, rozweselała się w nader przyjemny sposób w liczném towarzystwie, szafując hojnie zapewnieniami przyjaźni, a u siebie była gościnna z całém wylaniem, po polsku. Ośmdziesiąty rok życia już nieco pochylił wyniosłą jéj postać, mimo to krzepkim krokiem wyszła ze swego pokoju do drugiego który zajmowały wyłącznie, wraz z przeznaczoną do ich usług dziewczyną, jéj psy faworyty. Było ich sześciu a dwa tylko imiona utrzymywały się dotąd w tym szacownym szpiców rodzie: Bufek i Uryka. Według praw starszeństwa, był więc stary Bufek, młody Bufek i mały Bufek, stara Uryka, młoda Uryka i mała Uryka, a tu na raz Uryka mała nie zważając, że według zdrobniałego przydomka jeszcze jéj się to niegodziło, przyprowadziła na świat dwoje prześlicznych szczeniąt, dla których zupełnie nie było imion w kalendarzu rodowym. Co począć? starościna zadumawszy się głęboko odłożyła rzecz do przyszłéj Niedzieli, dla poradzenia się księdza Proboszcza, gdy jéj przerwano oddając list z poczty. Zawołała więc o okulary i posunęła drepcząc do swego biórka zakłopotana, bo nawet za młodszych lat niekochała się nigdy w pisaniu i czytaniu. Przy ogromném biórze dębowém postawioném między oknami obszernego pokoju, który razem za bawialnią służył, rozłożyła list starościna, ale nawyrzekawszy jak to teraz niewyraźnie piszą i przetarłszy kilka razy okulary, krzyknęła: Wołać mi panny Agnieszki! Wnet przez drzwi na pół uchylone wcisnęła się drobna postać z chudém, zwiędłém obliczem, na którém jednak para ciemnych oczu przyjemnie świeciła niewysłowioną dobrocią i rezygnacją.

— Co jéjmość dobrodzika potrzebuje? zapytała.

— Chodźno tu acpanna i czytaj.

Nowo przybyła wzięła list do ręki i pochyliła nad nim bladą twarz podwiązaną żółtą, w szafranie maczaną chusteczką. Któż z tego jednego charakterystycznego rysu nie pozna tak wybornie niegdyś kréślonéj w powieściach śp. Józefa Korzeniowskiego, postaci staréj panny, rezydentki? Chusteczka żółta kładła się na noc na szyję, którą miała chronić od pożółknięcia, podwiązywały się nią zęby w czasie fluksji, więc farbowano ich obficie w każdym szlacheckim domu, był to bowiem jedyny kosmetyk uboższych kobiet, które tak dobrze jak bogatsze lubią się zająć swojém upięknieniem.

Panna Agnieszka odczytała dość gładko list z którego dowiedziano się o przyjeździe siostrzenicy starościny, żony pułkownika B. wydającéj córkę za mąż i chcącéj prosić ciotuni o błogosławieństwo dla niéj. Panie te obiecywały zjechać najdaléj za dni dwa.

— Co za utrapienie! zawołała starościna, nie mam nawet pokoi gotowych na przyjęcie dam ze stolicy, a pani pułkownikowa od dzieciństwa kochała się w zbytkach i teraz też ma na to.

— Te dwa pokoje przy jéjmościnym sypialnym najporządniejsze, gdyby na kilka dni umieścić pieski w alkierzyku przy garderobie, zaproponowała nieśmiało panna Agnieszka.

— Masz tobie! przenosić kiedy mała Uryka ma szczenięta, kiedy Bufek nawykł sypiać na swojéj nowéj poduszce, czy to waćpanna rozumiesz, co to jest nawyknienie? biedne psiątka! waćpanna nie masz dobrego serca, kiedy tak nastajesz, żeby ich wyrzucić.

— Ja tylko myślałam że.... nie dokończyła spuszczając oczy p. Agnieszka. Jabym sama ustąpiła swego kącika pani pułkownikowéj, gdyby był dla niéj stosowny.

— To jest dobra myśl, bo pokój waćpanny do dwóch gościnnych przylega, a wszystkie ciepłe i świeżo na jesieni wybielone; trzeba powyjmować dywany z wielkiéj skrzyni i porozkładać na podłodze. Zawołać stolarza żeby poobijał sofę i stołki tém obiciem co je już od roku kupiłam. Są także firanki nowe kupione na Śty Jan w Lublinie, a jak się waćpanna zabierzesz, tak jak ty umiesz moja Asiu, dodała pieszczotliwiéj, bo ją chciała zniewolić, to za dwa dni zrobi się na górze królewski *apartament*.

— Będę się starała, szepnęła Asia całując w rękę jéjmość, która ją pogłaskała po twarzy. Była to pieszczota, która jéj się nie zdarzała nawet na imieniny, a jednak była ona także siostrzenicą starościny, córką

drugiéj jéj siostry zmarłéj w ubóstwie, starościna dała więc Agnieszce u siebie przytułek do śmierci, ale nic więcéj. Miłość miała dla swych piesków, poważanie dla osób z korzystném położeniem towarzyskiém, nie przyszło jéj nawet na myśl, żeby sierocie potrzeba było dać coś więcéj z siebie jak zużytą sukienkę, raczyła przyjmować jéj gorliwe usługi i nie wymówiła jéj nigdy, że jest jéj dobrodziejką, czy to nie dosyć?

Po wyjściu Agnieszki, starościna przyjmowała z kolei raporta ekonoma, leśniczego, kredencerza, który zarazem zawiadywał całą służbą domową.

— Proszę jéjmości, rzekł, o klucz od małego lamusa, trzeba wydać kilka szyb, do naprawy okien na górce gdzie się panna Agnieszka pomieści.

—A to po co? ofuknęła starościna, tam nié ma tylko czyste lagrowe szkło, żeby ja takie piękne tafle miała dawać do facjatek, zwarjowałeś na starość Marcinie.

— A jakże panna będzie tam nocować, kiedy zewsząd dmucha gdyby w kominie?

— Połatać szyby, pozaklejać papierem, cóż to czy to jaka grafini czy co? niech Bogu dziękuje że i taki przytułek znalazła.

Można się domyślać jakie było obejście sług z rezydentką, kiedy sama pani odzywała się o niéj z takiém lekceważeniem.

Na trzeci dzień już się zmierzchać poczęło kiedy do pokoi przygotowanych dla gości, wniesiono nowo obitą sofę i Asia wbiwszy ostatni gwóźdź na powieszenie świętego obrazka, rozejrzała się z upodobaniem po kątach których przeobrażenia z niemałym dokonała trudem. Śmiało tedy powiedziała sobie, że takiego wykwintu i czystości w najlepszym pokoju na dole nié ma. Wprawdzie nie było to wiele powiedzieć. Jednakże nigdy nic bardziéj w porę ukończoném nie zostało, gdyż wkrótce niezwykły turkot przed gankiem, oznajmił dwóch ciężkich pojazdów przybycie i wnet zaskrzypiały schody pod krokami ludzi, którzy wnosili liczne tłomoki do odświeżonych pokoi.

W Różkowie miano zwyczaj jadać wieczerzę, tém téż sutszą przygotowano na przyjęcie gości zdrożonych. Asia nie pokazała się aż w sali jadalnéj, nikt téż o niéj wśród przywitań *z drogą* ciocią starościną nie przypomniał sobie, dopiero teraz przyszedłszy do zastawionego stołu, ujrzano między kilkoma dworskiemi sługami, co zwykle na szarym końcu siadywali, bladą kuzynkę ubogo ubraną, lubo na tak niezwykłą uroczystość, zdjęła z pod brody wieczystą szafranową chusteczkę.

—Asiu, chodź tu acpanna! rzekła z imponującą powagą starościna, a obracając się do pułkownikowéj dodała:

— Pamiętasz tę córkę nieboszczki twéj ciotki stolnikowéj, która to...

— Pamiętam doskonale, przerwała pułkownikowa i ona mnie także spodziewam się, bo przecież znacznie starszą była odemnie.

—A jakże pani dobrodziejko, wyszeptała rumieniąc się Agnieszka.

— Cóż to znowu Asiu? przerwała jéj krewna, mimo różnych dla nas kolei losu, nie zapomniałam nigdy, że jestem twoją siostrą cioteczną. Wiesz że mogłabym się rozgniewać za ujmę uczynioną twemi ceremonjalnemi słowy memu sercu, które największe swoje roskosze upatruje w rodzinnych stosunkach.

Ten ustęp wygłoszony z tkliwemi odcieniami w głosie i z widoczną pretensją do uczuciowości, zamknął się pocałowaniem ręki starościny do której był też wymierzony. Poczém wszyscy siedli do stołu i rozmowa jeszcze się czas jakiś do Asi zwracała.

— Jakże ci się podobały moje córki? zagadnęła ją pułkownikowa, a panny uśmiechnęły się do niéj przewidując, że odpowiedź musi być pochlebną.

Agnieszka szepnęła kilka słów niezrozumiałych spoglądając na dwie młode kuzynki swoje. Starsza Karolina miała lat dwadzieścia i zaręczoną była z Sewerynem O., który także przyjechał przedstawić się starościnie. Obok zakochanéj pary sobą przedewszystkiem zajętéj, siedziała poważna dziewczynka lat piętnastu do szesnastu, bystremi rzucając oczyma po przytomnych osobach i okopciałych portretach. Była to Róża, młodsza pieszczoszka pułkownikowéj; ta zaś właśnie teraz pochylając się ku starościnie mówiła głośno z uśmiechem:

— Przedstawiłabym Asi pana Seweryna jako narzeczonego jéj kuzyny, ale to panny *dojrzałe*, podobno niechętném patrzą okiem na kojarzące się małżeństwa.

—Zwłaszcza takie, odparła starościna, które mają sobie do wyrzucenia że przez własne głupstwo świetny los z rąk wypuściły. Wiesz przecie całą historję z kasztelanem.

— Nie pamiętam dobrze, byłam jeszcze tak młodą. Tu pułkownikowa zwróciła oczy na siedzącego na szarym końcu pisarza prowentowego wcale przystojnego chłopca i w braku innego obcego mężczyzny, szukała w wyrazie jego twarzy, czy rzeczywiście znajduje ją jeszcze młodą i czy jej wdzięki podziwia.

— Pamiętam tylko że mi nieboszczka mama zawsze opowiadała o sławnym romansie z Adamem R.... który zginął pod Maciejowicami.

— O! to był romans taki *mądry*, jak to w książkach opisują, dobrze że się też i tak skończył; ale odepchnąć rękę człowieka takiego znaczenia i majątku jak był kasztelan, to się tylko zdarza pannom z przewróconą głową, a jakie ztąd skutki niech młodszym za przykład służy.

Tu starościna skinęła znacząco w stronę młodych wnuczek, nie zważając że biedna Agnieszka bladła i czerwieniała na przemiany, jak gdyby dotknięto grubijańską i nielitościwą ręką, krwawiącéj rany jéj serca. Tymczasem wszystkie oczy na nią się zwróciły. Pułkownikowa spojrzała z drwiącym uśmiechem. Narzeczeni ze współuczuciem, bo była mowa o śmierci kochanka, a któż co sam kochać umié, nie odczuje od razu straszliwéj boleści tych, którym śmierć kochaną wydziera istotę; domownicy siedzący u szarego końca pozostali najobojętniejsi, bo zdawna wiedzieli te szczegóły z częstych przycinków staróściny, panna Róża zaś przypatrywała się całéj postaci Agnieszki tak niepozornéj w swéj perkalikowéj sukience zdumiona, że ona mogła kochać i być kochaną. Zaraz po wieczerzy przystąpiła do niéj z niejakiém lekceważeniem.

— Panna Agnieszka musi nam opowiedzieć swoją historję, ja już umieram z ciekawości.

— To nasza ciotka, poprawiła ją Karolina, słyszałaś że jest cioteczną siostrą naszéj matki. Nie myśl ciociu, dodała zwracając się do Agnieszki, że my się chcemy niedelikatnie wdzierać w twoje tajemnice i nie zważaj na to co mówi ten pustak Rózia.

Agnieszkę nieprzyzwyczajoną do względów, ujęło nadzwyczaj te słów kilka słodkim wymówione głosem, spojrzała załzawionemi oczyma na Karolinę i odrazu uczuła się do niéj pociągnięta pełném życzliwości uczuciem.

— Bóg ci zapłać za dobre słowo, dzieweczko kochana, oby cię tak Najwyższy błogosławił, żebyś nigdy nie wiedziała co to tęsknota tak jak życie długa. Karolina z rozczuleniem ujęła rękę krewnéj i pocałowała ją. Porozumiały się dwa zacne serca kobiece.

— Ciocia musiała wiele w życiu przecierpieć.

— Tak Bóg widać chciał, odparła ze spokojną rezygnacją.

— O! ale jabym nie chciała cierpieć, zawołała Rózia z zuchwałością dziecięcą Nie trzeba się dawać cierpieniu.

— Nierozważne dziecię, odpowiedziała ciotka, a cóżbyś poczęła, gdybyś kochając kogo nad życie, pożegnała go czerstwym i uśmiechniętym, a potém nie zobaczyła już, tylko jedyny ślad po nim, szmatę zbroczonéj we krwi bielizny.

— A ten kasztelan? zapytała Rózia z ciekawością, szczęśliwa że pociągnąć może do zwierzań, on był pewno bogaty.

— Tak mówiono, odparła Agnieszka obojętnie, ale zapytaj się twojéj siostry czy nie odmówiłaby najbogatszemu, najznakomitszemu konkurentowi, gdyby taki zgłosił się teraz o jéj rękę.

— Ten dzieciuch nic nie rozumie, powiedziała Karolina uśmiechając się smętnie do wesołéj Rózi. Ta odrzekła:

— Wiem ja że dobrze być kochaną, ale téż i dobrze być bogatą i żal mi, że ciocia dała odkosza kasztelanowi, bo lepiéjby było jéj mieszkać dziś w swoim domu jako kasztelanowa, niż jako rezydentka u staróściny.

Karolina uczuła całą niedelikatność niewczesnych uwag i odpychając z lekka siostrę, wskazała na pierścionek będący na

palcu Agnieszki, która zrozumiała od razu nieme zapytanie.

— Jedyna pamiątka!... szepnęła, mam jeszcze.... mam jeszcze jednę relikwję...

— Zapewne tę krew szlachetną zaschłą na bieliźnie, odgadła Karolina.

Agnieszka kiwnęła głową potakująco i w milczeniu zdjęła pierścionek z palca dla pokazania dat na nim wyrytych. Karolina zarówno nic nie mówiąc obejrzała twarda, że drzwi skrzypią nie do wytrzymania, a jéj przekonanie o czystości tam będącego powietrza, ciężkiby szwank poniosło, gdyby widziała jak pułkownikowa zaraz po wejściu, wydobywała paczki różnorodnych kadzideł, otwierała szybki, które się nie bardzo trzymać chciały na zepsutych zawiasach i jęczała przykładając rękę do piersi, że ją ta atmosfera dusi.

— Wiesz Karolino, mówiła Rózia, że mi



W tém referendarz zapytał się pułkownikowéj czy i ona także kwiaty lubi.

go i pocałowała z uszanowaniem, jak świętość. Ta oznaka niezwykłego współczucia do głębi poruszyła Agnieszkę, pierś jéj się wzniosła, powieki od łez wezbrały, uścisnęła rękę Karoliny i wybiegła z przyłożoną do ócz chustką, chroniąc się z roztkliwieniem do swéj izdebki.

Dobrze wyszła na tém, że nie odprowadzała pułkownikowéj, boby była pewne się dowiedziała, jak mało się przydały jéj ciężkie kłopoty na upiększenie przeznaczonego dla niéj mieszkania. Usłyszałaby na wstępie że sofa nieznośnie dziwnie pomyśleć że ta panna Asia była kiedyś młodą, a może i ładną, kiedy przez takie romansowe przechodziła przygody. Jak ona dzisiaj do tego niepodobna. Taka śmieszna w swojéj wymiętéj sukience.

— Tak to moje dziecko, rzekła wzdychając pułkownikowa, w piętnastu latach zwykle nie domyślamy się że wdzięki przeminąć mogą i że starość nadejdzie.

— Piętnaście, powtórzyła z naciskiem Rózia, przecież ja już szesnaście kończę.

— Milczałabyś, złajała ją matka i nie pilnowała tak ścisłości rachunkowéj w obli-

czaniu swych lat, które i tak mimo ciebie czas okrutnik z wielką akuratnością dodawać będzie, bo ja ci mówię, że jedną z zalet najwięcéj cenionych w kobiecie jest, młodość.

Karolina pokiwała dziwnie głową, jakby czyniąc milczącą protestację na słowa matki, która zalety kobiety położyła na równi z zaletami wystawiającego się na sprzedaż konia i mówiła w dalszym ciągu o Agnieszce.

—Musiała ona jednak być nie brzydką, a oczy miała pewno prześliczne, bo i dziś patrzą z takim miłym wyrazem, że pociągają ku sobie.

— Karolina wyraźnie rozkochała się w Asi, wołała Rózia, mnie zaś ona bawi niezmiernie. A uważała mama tego starego zézowatego ekonoma co siedział przy tym drugim młodym, jaki śmieszny! a ta szafarka z dużym nosem co oddawała klucze starościnie?.. Przezabawne figury!

— Ach! jakie meble twarde, westchnęła pułkownikowa. Ci państwo mieszkający po wsiach tak mało na utrzymanie domu wydają, że muszą mieć ogromne pieniądze, dodała kładąc się do łóżka i rozważając że dobrze, że ciotunia skąpa bo większe zostawi dziedzictwo.

Usnęły gwarząc tak o wszystkich domu mieszkańcach, matka obliczając co ciotunia zostawić może, Karolina dziękując Bogu że do połączenia się z ukochanym nié ma tak strasznych jak Asia niegdyś przeszkód, a Rózia na pół śpiąca jeszcze, myślała sobie, że dobrze być kochaną, ale równie dobrze być bogatą i że ona na miejscu Asi pewnieby była nie odrzuciła kasztelana, miałaby też teraz karetę i dalekoby była od kuzynki piękniejszą kupując sobie piękne stroje i t. p. i t. p.

We wspomnieniu zaś Asi uwaga pustego dziewczęcia, że lepiéj było zostać kasztelanową niż starą panną, najmniejszego nie zostawiła śladu, przyszło jéj to wprawdzie parę razy w życiu na myśl, kiedy jéj bardzo dokuczyła starościna, ale teraz rozmarzona dawnemi wspomnieniami, jakie w niéj wzniecał widok narzeczonych i rozmowa z Karoliną, ze łzami, w gorącéj modlitwie poleciła Bogu duszę Adama i siebie i lubo położywszy się długo zasnąć nie mogła, nie jednak nie czuła, biedaczka! jak wiatr dmuchał przez źle opatrzone okna, na jéj głowę i pogorszeniem wieczystéj fluksji groził.

Goście zabawili w Rożkowie dni kilka, które w jednostajném życiu Asi pozostały jasném wspomnieniem. Naprzód starościna była ciągle w świątecznym humorze i nie złajała ją ani razu, potém Karolina okazywała jéj wiele przychylności co zaraz i pan Seweryn naśladował, Rózia rozweselała ją konceptami swemi, a nawet pułkownikowa dosyć dla niéj chłodna przy ciotuni, kiedy ta wyszła, brała ją nie raz pod rękę i chodząc z nią po pokoju w poufnéj rozmowie rozpytywała o stosunki staróściny, o zarząd Rożkowa i dochody jakie czyniły dobra? Pułkownikowa w téj pełnéj wylania gawędce miała swoje cele i potrafiła się dowiedzieć wszystkiego co jéj tylko było potrzebném, ale panna Agnieszka w prostocie swojéj mogła jéj przymilania brać za dobrą monetę, ona, na którą nikt nie zważał, wychodziła teraz na widownię, goście szanowali ją, a więc i sama starościna nie śmiała jéj wobec nich lekceważyć, a zdziwieni słudzy zaczęli zupełnie innemi patrzeć na nią oczyma, widząc że jest jak mówili *za pan brat* z pułkownikową, o któréj państwie wysokie mieli wyobrażenie.

Starościna dała przy odjeździe pannie młodéj dwa tysiące złotych na ślubną suknię, nawet jéj matka i siostra suto obdarowane zostały, podczas kiedy prezenta czynione Asi nie dochodziły nigdy wartości stu złotych, ale jakże dać mało majętnym i tak wykwintnym krewnym; dla pułkownikowéj i jéj córek wszystko robiono w pierwszych magazynach z najprzedniejszych gatunków, garderoba ich lśniła jedwabiem i aksamitem, pułkownik stanął świetnie w nowéj organizacji wojska za wielkiego księcia Konstantego, więc i rodzina jego wydając wiele, miała się sama i mianą była przez drugich za bogatszą niż w istocie.

Po ich odjeździe zawisła nad dworem Rożkowskim nuda, niby posępna chmura jesienna. Asia rozbałamucona oznakami przychylności miała często łzy tęsknoty w oczach, a starościna wpadała w zły hu-

mor postrzegłszy się jak dużo przez ten czas wydano ze śpiżarni. Nareszcie stołeczni goście zaczęli znikać z rozmów i pamięci mieszkańców wiejskiego dworu, Asia tylko dochowała im najwierniejsze wspomnienie, lecz gdy napowrót pozamykała dywany i obicia w skrzyniach olbrzymich i przeniosła się do swego pokoju, wszystko już do dawnego trybu wróciło i ciągnęło się daléj pasmo dni jeden do drugiego podobnych, których jednostajność przerywały czasami odwiedziny księdza proboszcza lub kwestarza OO. Reformatów, śmierć jakiegoBufka lub jakiéj Uryki, albo częstsze jeszcze w tém poważném i liczném plemieniu urodziny. Tak minęło lat kilkanaście, tém tylko najdobitniéj oznaczone w Rożkowskim dworze że na jego właścicielce i jéj siostrzenicy czas coraz wybitniejsze ślady starością piętnował.

Był to rok 1829 który ożywił warszawską publiczność uroczystościami koronacji i balami wynikłemi z tego powodu..... Cóż powiemy o pułkownikowéj która jeszcze swéj Rózi za mąż nie wydała, co było według jéj pojęć nieograniczenie zatrważające, lubo ze swobodném sumieniem popełniała błędy arytmetyczne wiek jéj obliczając i sama nieledwie w siebie wmówiła, że Rózia ma dopiero rok dwudziesty piąty. Znajdowała wszakże, że i w tym wieku już bardzo posuniętym na bezmężną kobietę, należało kończyć bądź co bądź, pomijając wiele wymagań w wyborze dozgonnego przyjaciela, a tu na raz kiedy już stanęła na tyle rozpaczliwym punkcie postanowień swoich, zaczął się dla Rózi uśmiechać los tak świetny o jakim nawet marzyć nie śmiała. Poznał ją młody hrabia Alfred potomek jednéj z najznaczniejszych rodzin w kraju i zajął się bardzo jéj dowcipną rozmową, jéj postawą oznaczającą się tak, że nie gasła mimo takiego nagromadzenia pięknych kobiet wówczas w Warszawie. Prawda, że ją widział po raz pierwszy na wielkim balu w Ratuszu, wśród tego uroku jaki rzuca na błogo bawiących się śmiertelników doborowa muzyka, potoki światła i woni kwiatów, świetne ubiory kobiet, co same jako najcudniejsze kwiaty tego sztucznego ogrodu, wabnie kołyszą strojne główki po nad wpół obnażonemi ramionami. Jednak hrabia Alfred był następnie kilka razy w dzień z wizytą u pułkownikowéj, a czar rzucony nań przezRózię na balu nie rozwiał się i owszem tak wzrastał, że mówić o tém zaczęto. Pułkownikowa miała tak głowę zawróconą, że w domu sądząc, że nikt na nią nie patrzy, wznosiła nieraz w niemém zdumieniu ręce do góry, a Rózia nie tylko że miała główkę rozmarzoną niespodziewaném salonowém powodzeniem, ale jeszcze pod płomiennném spojrzeniem pięknego młodziana żywiéj uderzyło jéj serce. I byłoby się zapewne skojarzyło małżeństwo według Boga i natury, łączące dwoje ludzi wyrywających się ku sobie całą potęgą istoty swojéj, gdyby konwencjonalne świata formy nie stanęły przeciw ich życzeniom. Uosobienie tych form, hrabinaS... siostra Alfreda usiadła raz przy nim wlepiając weń badawcze spojrzenie.

— Powiedz mi kochany bracie, zapytała, czy prawda że się zakochałeś w pannie Róży?

— A choćby też troszkę? powiedział z zakłopotanym uśmiechem Alfred.

— To źle, odparła chłodno siostra, bo takie panny do których tylko przez kościół dojść można, są kłopotliwe w romansie.

— Ale o cóż mnie posądzasz? zagadnął rumieniąc się po uszy brat.

— Byle nie o małżeństwo, boby to było najgorszém.

— Przypierasz mnie do muru, Elizo, doprawdy, będąc dopiero u wstępu do cudnych rojeń, którym się oddaję przymrużywszy oczy, nigdym podobno się nie zastanowił jaki ich koniec będzie.

— Moja więc rzecz, jako starszéj w rodzinie, pilnować cię żebyś nie był niedorzeczny.

— Ale cóż ty chcesz od niéj? panna przyzwoita, dobra szlachcianka.

— Tak, tak, między zaściankowemi.

— Moja Eliziu żebyś połowę tak znała historję polską jak francuzką, tobyś wiedziała że dużo historycznych, dawniéj świetnych imion, utonęło dziś w ubóstwie, podczas kiedy bardzo podejrzanéj zacności nowicjusze, szumią przed naszemi oczami,

Bóg wié. jak nabytém bogactwem i świeżo kupionemi tytułami.

— Nie sądź że jestem taką purystką w genealogjach jak wuj Leon, ale jednak znamy my się wszyscy między sobą, więc przystoi ci szukać żony wśród twoich stosunków, nie zaś wprowadzać nową figurę, któréjby może nie przyjęło nasze towarzystwo.

Pan Alfred przybity spuścił głowę. Gdyby siostra mówiła mu o nierówności majątkowéj byłby zaprotestował; pieniędzy miał dużo i lekceważył je, ale przed sądem świata był trwożliwy, jak zwyczajnie człowiek od kolebki skrępowany jego drobnostkowemi formułkami. Wyroki tego światka maleńkiego lubo zwanego wielkim, koteryjnego choć mu się zdaje, że wszystko ogarnia, były dla niego wyrocznią przed którą nie pozostawało nic innego jak skłonić głowę w pokorze. Umysł jego dość poziomy, niewyrosły z powijaka konwenansów, nie dał mu nigdy szerzéj się rozejrzeć. Z miłości znał tylko romanse, których właśnie częsta zmiana najponętniejszą była przyprawą, więc zrezygnował się dość łatwo na opuszczenie Rózi, wszak tyle innych kobiet było na świecie..,. jednak jako człowiek słabego charakteru, gdy ją ujrzał znów był oczarowany, spętany, przykuty, a Rózi oczki jaśniały całym blaskiem szczerego, gorącego uczucia, matka zaś jéj nie zaniedbywała niczego coby to uczucie obustronnie podniecić mogło, doszło więc do tego, że hrabina Eliza z dolatujących ją wieści, znów zatrwożyła się o mezalians w swoim rodzie. Ale zaniechała czynienia przedstawień bratu, umyśliła że daleko skuteczniéj będzie z samą panną się rozmówić. Wybrała się zatem z wizytą do pułkownikowéj. Lecz na wyjeździe ulękła się na myśl jak ją tam przyjmą przy takich oświadczynach. Krok jéj był zuchwały, niedelikatny i mogła się spodziewać odwetu. Kto wie, jak się mogło wyrazić rozdrażnienie pułkownikowéj, spowodowane zupełnym upadkiem jéj lubych nadziei. Więc pani Eliza zajechała po Referendarza i zabrała go z sobą na ową dyplomatyczną wizytę. Referendarz był to uprzejmy staruszek mówiący słodkie słówka wszystkim bez wyjątku kobietom, lubiący wesołe towarzystwo i smaczne obiadki. Przepadał za elegancją wszelkiego rodzaju, szczycił się przyjaźnią wszystkich księżen i hrabin, wcale jednak nie pogardzając aktorkami; ubrany zawsze wykwintnie, miluchny, uśmiechnięty, usłużny mimo tuszy przeszłéj już u niego w kalectwo, która go trapiła niewymownie, gdyż mu przeszkadzała motylkować przy damach, co było jego zaciągniętym z dawnych lat nałogiem. Skoro zatem hrabina Eliza oświadczyła chęć mienia go przy swoim boku na wizycie u pułkownikowéj, pośpieszył wsiąść do jéj karety, podsadzony z trudnością przez dwóch barczystych lokai.

— Referendarzu kochany, rzekła do niego Eliza gdy wysiadać mieli, mam ważny interes do saméj panny; zabawże mi matkę podczas kiedy ja z Rózią rozmawiać będę.

— Ale jak ją zajmę! odparł wesoło Referendarz, zobaczysz hrabino, że zapomni zupełnie, że kto inny prócz nas dwojga jest w pokoju, tém bardziéj że to kobiétka wcale jeszcze zajmująca mimo swego piątego krzyżyka.

Tak rozmawiając wysiedli, a w salonie znaleźli matkę z córką niezmiernie rade z przybycia siostry Alfreda, myślące zapewne że to wzruszenie jakie je na widok hrabiny ogarnęło, to tajemne przeczucie blizkiego spełnienia najgorętszych życzeń.

Przywitania miały wszelki pozór światowéj serdeczności, usiedli wszyscy w około kanapy i zaczęli ogólną rozmowę, ale wkrótce podzielili się na dwie pary z których każda odrębny traktowała przedmiot. Referendarz z pułkownikową zaczęli sobie palić komplementa i niezmiernie byli kontenci z konceptów swoich, hrabina zaś badawczo spoglądając na Rózię starała się zręcznie wybadać o ile jéj nadzieje poślubienia Alfreda uzasadnione być mogą. Tak dotykając z niechcenia najtajemniejszych strón serca rumieniejącéj się pod jéj spojrzeniami dziewczyny, wstała idąc na drugi koniec salonu do kwiatów stojących w porcelanowych wazonach.

— Widzę że te prześliczne kwiaty ściągnęły uwagę pani hrabiny, wołała ze swego miejsca pułkownikowa w różowym humorze, sądząc się już prawie u kresu

swych życzeń, jest to dowód *szarmanterji* hrabiego Alfreda dla mojéj Rózi.

W tém Referendarz zapytał się jéj czy i ona także kwiaty lubi, a uczynił to z tak przejmującém wejrzeniem, że pułkownikowa sądziła za stosowne spuścić oczy. Tymczasem hrabina mówiła do jéj córki głosem zniżonym.

— Grzecznostek i przymileń męzkich nie należy brać już za dowód ich stanowczych przedsięwzięć, a że o projektach mego brata więcéj mówią w towarzystwie niż on sam wié o nich, przeto radabym, żeby tak dystyngowana osoba jak panna Róża, nie łudziła się napróżno.

— Jakto? co pani chcesz powiedzieć? zapytała Rózia blednąc.

— Chciałam powiedzieć, rzekła z przyciskiem hrabina, nie obwijając już słówek w bawełnę, że mamy żonę upatrzoną dla Alfreda i biada! każdéj innéj któraby się chciała wcisnąć do naszéj rodziny, bobyśmy jéj nie przyjęli.

— Bądź pani pewną, rzekła z uczuciem obrażonéj godności Róża, że tu nie ma nikogo coby się chciał przez gwałt wcisnąć do rodziny tak pysznéj i samolubnéj, chociaż brat Pani..... tu umilkła, bo usta jéj ze wzruszenia drżeć zaczęły, a w tém wielki rumot przy kanapie zwrócił ich oczy w tę stronę. Referendarz który właśnie chciał podjąć z wdziękiem upadającą chustkę pułkownikowéj, pochylił się na krzesełku i złamał je, a szukając rękoma punktu oparcia, dotknął jéj kolan tak ciężko, że aż krzyknęła. Mimo to nie zachował równowagi wysunęło się z pod niego krzesło i on sam przyklęknął, że aż się posadzka zatrzęsła. Nic śmieszniejszego wystawić sobie nie można, jak obraz który się przedstawił oczom hrabiny i Rózi; pułkownikowa była pognębioną, że jéj meble nabyte od żydów tak słabemi się okazały, Referendarz jeszcze bardziéj przybity ciężkością swoją, zaledwo się podnieść zdołał za pomocą ręki Elizy, która żegnając się na prędce uprowadziła go do karety, rada że już powiedziała o co jéj chodziło.

Tymczasem Rózia złożyła z matką naradę i oświadczyła stanowczo że chce unikać Alfreda. Obrażona duma poszepnęła jéj że to nic łatwiejszego; pułkownikowa miotała się zajadle twierdząc, że postawi na swojém; uprosiła nareście opierającéj się wciąż córki, że jeszcze raz przyjmie hrabiego, że się oni wtedy otwarcie rozmówią, a liczyła na powab Rózi, na ich miłość wspólną, że się wszystko dobrze ułoży na przekor Elizie. Następnego dnia rzeczywiście przyjechał Alfred nic nie wiedząc o bytności siostry, wyświeżony, w różowym humorze, ofiarując swéj bogini lożę na pierwszy raz grać się mającą sztukę. Rózia otrzymawszy od matki że się niepokaże, przyjęła go sama z powagą i godnością. Lica jéj zbladły, drżały usta mówiące zwolna i dobitnie jakby dzwon pogrzebowy konającego szczęścia. W sercu jednakże trwała iskierka nadziei. Przekonajcież od razu kochającą kobietę, że te płomienie uczucia co w jéj piersi tleją, nie są w stanie ogarnąć, ograć drugiéj piersi częstokroć wyschłéj, z któréj ona jednak warunki do życia czerpać się zdaje; tam ona swój skarb widzi i rwie się do niego niepowstrzymanie, wielbiąca, upojona czarem złudzeń, broniąc od zaboru te świętości swoje najdroższe. Tymczasem najczęściéj bywa że ten ołtarz przed którym ona klęka z zapałem, różnym nikczemnostkom ziemskim pali ofiary, otoczony mężczyznami co przykładem i słowem ciągną na drogę brudnych namiętności i kobietami co nie kochają ale durzą.

Otóż Rózia mimo całą pozorną rezygnację spodziewała się że jéj Alfred powie, że ich już nic w świecie rozłączyć nie zdoła. Alfred jednak milczał podnosząc na nią wzrok pomieszany i płomienny zarazem. On nie myślał w téj chwili, żeby jakąś dla niéj zrobić ofiarę, ale czując że jest kochany, zatapiał się w takiém przypuszczeniu, że może ona nie zawaha się wszystkiego mu poświęcić. Lecz pełne dumnéj boleści spojrzenie kobiety przywiodło go do opamiętania, już, już chciał się oświadczyć stanowczo, gdy obraz zagniewanéj siostry stanął mu przed oczyma jakby na przypomnienie, że przeciw woli rodziny nie potrafi być dość silny; pozostał więc milczący z na wpół otwartemi usty, sam nie wiedząc co zrobić z zakłopotaną figurą swoją.

— Żegnam pana, rzekła chłodnie na pozór lecz z rozdartém sercem Rózia; le-

piéj żebyśmy się już całkiem nie spotkali.

— A lepiéj! podchwycił oddychając Alfred, bo inaczéj nie podobna mi będzie pani zapomnieć.—Rózia tłumiąc jęk wybiegła z pokoju, czując że wszystko skończone, mimo to łudząc się że ją jeszcze zawróci jakie słowo przychylne, lecz po chwili turkot odjeżdżającego powozu, przekonał ją że pan hrabia pogodził się z losem.

—A co Róziu? wołała wchodząc pułkownikowa i spojrzawszy na córkę już nie czekając odpowiedzi wyrzutami wybuchła.

— A co? porządziłaś się swoją głową i cóżeś zrobiła? Najwyższą niezręczność, głupstwo jedném słowem, przepadłaś na wieki, żegnaj się z pozycją, chce ci się widać pędzić żywot jak panna Agnieszka....

Tak perorowała długo, ogłuszona dźwiękiem słów własnych, a gdy nareście w nadziei usłyszenia tłomaczeń zwróciła na córkę spojrzenie, krzyknęła przerażona. Rózia pochylona na poręczy krzesła wyglądała jak martwa.

*(D. c. n.)*

---

# OBÓZ POD TCZEWEM.*)

WSPOMNIENIE Z WOJEN SZWEDZKICH.

U stóp piaszczystego wzgórza rzadkiemi porosłego krzewy, niedaleko pola bitwy pod Tczewem, kędy przed niedawnemi laty Zborowski na czele zwycięzkich wojsk króla Stefana pobił Jana z Kolna, przewódzcę zbuntowanych gdańszczan, znów ciała poległych świadczyły o świeżéj utarczce z wrogiem. Król szwedzki Gustaw Adolf, groźny nieprzyjaciel rzeczypospolitéj polskiéj, napadł lądem i morzem lenne jéj Prusy, podczas bowiem gdy sam z licznym zastępem wylądowywał w Piławie, admirał jego Gyllenhjelm zagrażał Oliwie i Puckiéj zatoce. Hetman Koniecpolski świeżo powrócony z tureckiéj niewoli, wyszedł w pole na czele zbrojnych hufców. W chwili gdy rozpoczynamy opowiadanie nasze, Gustaw Adolf po przebyciu wielu już utarczek stał obozem pod Tczewem, hetman zaś rozłożył się o milę ztamtąd w Czarlińcach i niepokoił ciągle zaczepkami nieprzyjaciół. Król szwedzki umyślił wreszcie zwieść z nim stanowczą bitwę i wyprawił najpierw trzy chorągwie. Sam stanął na czele pierwszéj, dwie zaś drugie oddał pod dowództwo Wrangla i Thurna. Oszańcowali się polacy we wsi Libuszowie wysełając z początku małe oddziały, dopiero gdy szwedzi żywiéj nacierać poczęli wystąpił pułk hetmański. Ale niestety! jak mówi opis spółczesny, szczęście dnia tego nie było przy naszych. „Hetman stracił konia i bronił się czas jakiś na piechotę, aż mu któryś z kozaków innego podał wierzchowca. Wyszły téż świeże pułki i potężnie kruszyły kopije ale bez porządku, w końcu też za skaraniem bożém tył podali i ustąpili pod wieś Rokitki, tam piechota hamowała szwedów ogniem z ręcznéj broni, lecz mimo to nasi stracili z ośmdziesiąt ludzi i znak roty królewicza wpadł w ręce nieprzyjaciół *)“.

W początkach téj wojny zaciętość stron obu była tak wielką, że niedozwalano grzebać poległych przeciwników; to niechrześcijańskie uczucie prędzéj przeminęło u polaków, lecz szwedzi długo okazywali się nieubłaganemi. Po bitwie téż Libuszowskiéj równina zasłaną była trupami, których nikt niechciał chować, z obawy aby niewpaść w ręce wroga. Nad zachodem słońca dopiero, wśród posępnego pola śmierci pojawiły się nieśmiało dwie niewieście postacie. Jednaka boleść wyryta na licach obu, nie czyniła na pierwsze wejrzenie ża-

*) Tczew po niemiecku Dirschau, miasteczko słynne obecnie wspaniałym mostem zbudowanym na Wisle.

*) Djarjusz z pamiętników o Koniecpolskich.

dnéj pomiędzy niemi różnicy. Zastanowiwszy się jednak bliżéj, dostrzegłeś że jedna była już w posępnych latach jesieni życia, gdy druga świeciła wiosenną młodości krasą. Stąpały ostrożnie rozglądając się w obliczach poległych z pełnym żałości niepokojem. Łatwo odgadnąć było że szukają drogiéj sercu istoty z nadzieją odnalezienia jéj tylko pomiędzy zmarłemi. Nagle młodsza wydała słaby okrzyk i przyklęjąc obok skrwawionych zwłok starca, przytuliła się do nich wyszeptawszy zaledwie zrozumiałym głosem: ojciec! Starsza niewiasta podbiegła w tę stronę i wnet obie zlewały martwego wojownika rzęsistych łez strumieniem. Gdy przeminęła piérwszéj boleści chwila, rozpięły ciężką jego zbroję i śledzić poczęły czy pod całunem śmierci nie tli jeszcze życia iskierka. Długo starania ich były daremne, lecz w końcu błogi owoc wydały, bo ranny począł zwolna odzyskiwać zmysły. Wlały wtedy w usta jego rzeźwiący napój i nieubiegło godziny jak o tyle czuł się lepiéj, że rozpoznał żonę i córkę. Radość biednych kobiet była nie do opisania, zdawało się, przenieść niepotrafią nagłego przejścia z rozpaczy do nadziei. Matka oprzytomniała najpierw i radzić poczęła o przeniesieniu chorego do Rokitek, gdy nowy nieprzewidziany wypadek pomieszał jéj wszystkie szyki. Zbrojny zastęp nieprzyjaciół ukazał się w pobliżu zmierzając wprost w tę stronę. Niepozostawało jak oddać się opiece bożéj i czekać w miejscu nieuniknionego spotkania. Obie niewiasty przypadły do ziemi obok rannego modląc się w głębi duszy. Z razu sądziły że będą ocalone, bo wracająca na noc do obozu chorągiew mimo nich przeciągała sunąc powoli, gdy nagle dostrzegł je mąż jadący w końcu i wstrzymał konia. Był to rycerz nie pierwszéj już młodości, lecz wspaniałéj urody i wyniosłéj postawy. Zmarszczył brwi groźne sądząc że pomimo zakazu znalazły się dość odważne istoty aby grzebać ciała poległych, lecz rozchmurzył oblicze spotkawszy błagalne wejrzenie młodéj dziewicy.

— Na Boga! zawołał w niemieckiéj mowie, niespodziewałem się napotkać tak cudnego kwiatu wśród téj szkaradnéj piaszczystéj pustyni. Nie lękaj się piękne dziewczę, bo ktokolwiek jesteś, na mój miecz! nie spotka cię żadna zła przygoda.

Strwożona dziewczyna nic nie odrzekła z razu, lecz matka ośmielona słowami rycerza prosiła go o litość nad umierającym.

— Co czynisz nieszczęsna, przerwał jéj tenże dobywając sił ostatek, żebrzesz miłosierdzia u wroga? Zwracając się potém do obcego wojownika: raczéj skonać tutaj, aniżeli tobie życie zawdzięczać, wyrzekł. Tak był zesłabiony krwi upływem, że omdlał wymawiając te wyrazy. Zrozpaczona żona mimo jego zakazu nieprzestała wołać ratunku, córka również przejęta boleścią poparła jéj prośby. Wódz z początku milczał gniewny widocznie, lecz w końcu zmiękł i przywołał lekarza, gdy zaś po skończonym opatrunku złożono chorego na noszach, zbliżył się do starszéj niewiasty i rzekł poważnie.

— Posłuchałem próśb waszych lecz wiedzcie, że mąż wasz był jednym z mych najzaciętszych wrogów i nie jednokrotnie w boju na me życie godził.

— Mylicie się może szlachetny panie, biorąc go za kogo innego, zagadła nieśmiało żona.

— Rotmistrz Dębołęcki krewniak Moczarskiego wodza lisowczyków, zanadto nam się dał we znaki, abyśmy go rozpoznać nie mieli.

Usłyszawszy to nazwisko strapiona kobiéta zamilkła smutnie pochylając głowę, lecz natomiast córka jéj ozwała się żywo.

— Jeśli więc tak jest, jeśli ojciec mój mężnie się z wami spotykał w boju, temci bardziéj jako rycerz prawy winniście mu pomoc i opiekę w téj ciężkiéj potrzebie.

— Nie odsuwam jéj też; piękna panno, odparł wódz z dwornym uśmiechem, nadto jeszcze sam pragnę się poświęcić na usługi wasze, jeżeli mię przyjąć zechcecie za niewolnika, dodał ciszéj pochylając się do jéj ucha.

Zofja (to było imię dziewczyny) szkarłatnym spłonęła rumieńcem i odparła również cicho:

— Zaprawdę, jeśli prośba moja posłuch u was znaleść może, to zaprzestańcie mowy któréj mi słuchać nie przystoi.

— Nie chcecie jak widzę zapomnieć że jestem wrogiem ziemi waszéj, wierzajcież przynajmniéj, że nie mniéj przeto cenić umiem kwiaty rosnące na jéj niwach.

Jęk rannego przerwał tę rozmowę, Zofia pośpieszyła do ojca i nieodstąpiła go dopóki doznawszy ulgi w swych boleściach niezasnął snem przerywanym niekiedy gorączkowemi słowy. Cały orszak postępował zwolna, wódz zsiadłszy z konia szedł obok matki i córki. Zapytywane przez niego opowiedziały mu na przemiany jako przybyły niedawno z głębokiego Mazowsza, w odwiedziny do rotmistrza który tutaj bawił się wojaczką. Pani Dębołęcka rodem z okolic Tczewa miała w nich wielu krewnych, którzy ją przyjęli z otwartém sercem. W młodości swéj spędziła czas jakiś na dworze żony kurfirsta Brandeburgskiego pana Prus lennych, nauczyła się tam niemieckiéj mowy i obznajmiła z nią późniéj córkę, obie więc dotąd radziły sobie jako tako w kraju zalanym zewsząd cudzoziemcami. Gdy po bitwie pod Libuszowem powiedziano im że rotmistrz, dla którego tyle poniosły trudów legł śmiercią walecznych, mimo przedstawień przyjaciół aby nienarażały się na niebezpieczeństwo, pobiegły na plac boju chcąc odszukać i pogrzebać jego zwłoki. Wódz słuchał z zajęciem téj opowieści i niespostrzegł prawie, że już zbliżyli się do obozu. Spotkawszy dopiero pierwsze czaty, zapytał gdzie pragną złożyć chorego.

— Niepożałowałbym mu miejsca w mym namiocie, lecz sądzę że macie znajomych w mieście i potraficie sobie tam wynaleść dogodniejsze schronienie, rzekł wkońcu.

— Mamci ja rodzonego brata przeorem Dominikanów w Tczewie, odparła pani Dębołęcka i gdybyście zezwolić chcieli....

— I owszem ruszajmy więc najpierw do klasztoru.

Księżyc rysował fantastyczne cienie na starożytnéj budowie, wzniesionéj niegdyś dla zakonników świętego Dominika przez Mestwina pomorskiego księcia, gdy szwedzcy żołnierze zadzwonili do furty. Wyjrzał mnich staruszek, lecz zlękniony ich widokiem schował się co żywo. Za powtórném dopiero kołataniem wyszedł sam przeor również zatrwożony. Siostra wybiegła najprzód aby go uspokoić, wielkie było zdziwienie i radość jego skoro ją rozpoznał. Opowiedziała mu po krótce swą przygodę prosząc o schronienie dla męża.

— Niezechcecie się pewno z nim rozdzielić, a reguła nasza nie pozwala przyjmować kobiet, rzekł z uśmiechem, lecz mamy na szczęście dwie osobne gościnne izby po za furtą i w tych zamieszkać możecie.

— Nie zapominajcie jednakże mój wielebny, ozwał się wtedy wódz szwedzki, że krewni wasi są memi więźniami których straż wam poruczam.

— Pewien jestem że sami narazić by mię nie chcieli na gniéw wasz szlachetny panie, myśląc o ucieczce rzekł zakonnik, rachujcie więc na to, że nie zmylą czujności czat waszych.

— Ciebie szczególniéj nie radbym postradać piękna branko, szepnął rycerz na ucho Zofji skłaniając się aby ją pożegnać, a pozdrowiwszy potém matkę i przeora oddalił się spiesznie wraz ze swą strażą.

Gdy odgłosy ich kroków znikły w oddali, a więźniowie rozgościli się w ofiarowanych im komnatach, przeor ściskając rękę siostry zapytał jéj z cicha, niby w obawie że ściany rozgłos mieć mogą.

— Powiedzcież mi jak ugłaskać zdołaliście tego dzikiego tygrysa, który żyje jeno krwi przelewem?

— Nie rozumiem was bracie, czyżbyście mówili o wodzu, który nas przywiódł tutaj?

— Tak jest nie inaczéj, albowiem nie dawał on dotąd dowodów ludzkości okazanéj w postępowaniu z wami.

Zofja spłonęła żywo na te słowa, lecz ukryła swój rumieniec pochyliwszy się nad łożem ojca, który właśnie czegoś zażądał. Pani Dębołęcka zamyśliła się głęboko.

— Wistocie, rzekła po chwili, że całą przygodą naszą Bóg kierował wedle miłosierdzia swego, bo jakkolwiek obie z Zosią prosiłyśmy o litość, mąż mój pogorszył jeszcze swą sprawę nienawistnym okrzykiem przeciw nieprzyjacielowi, którego zda się znać dawniéj musiał, ale powiedzcież nam jego miano, bo je wiecie bez wątpienia.

— Jest to czeski hrabia Thurn, jeden z ulubionych wodzów Gustawa, waleczny

w boju, lecz zarazem nielitościwy dla pokonanych; nie dawno rozpowiadano jako jeden z pojmanych, którego śmiercią karać rozkazał, przepowiedział mu że nie wyjdzie roku jak sam stanie przed sądem bożym. Hrabia jak wszystkie niedowiarki



Raczéj skonać tutaj, aniżeli tobie życie zawdzięczać, wyrzekł.

zabobonnym jest potężnie, owóż tedy zesmutniał bardzo z początku, teraz jednak gdy rok się już ma ku końcowi, zapomniał widać przepowiedni i broi po dawnemu. Rodzina jego z Włoch pono pochodzi gdzie nosi nazwę Torre di Tasso, to też czło-

wiek ten odziedziczył wszystkie gorące namiętności synów południa. Jakiś dobry anioł kierował nim w chwili, gdy was napotkał, lecz niech was Bóg strzeże, abyście go miały ujrzeć więcéj.

Słowa przeora przeraziły rotmistrzowę, w sercu zaś Zosi bolesne jakieś tylko wzbudziły uczucie. Piękna i wspaniała postać hrabiego, mowa jego pełna dworności rycerskiéj, nie mogła jak podobać się młodéj dziewczynie. Myśl jedynie że był wrogiem jéj ziemi powstrzymywała na wodzy rozkołysaną wyobraźnię i strzegła serce od silniejszego wrażenia. Nie mogła jednakże podzielać zdania stryja, o tym którego uważała za zbawcę ojca i w głębi duszy pragnęła skrycie ujrzeć go choć raz jeszcze. Gdy późno w noc sen zmorzył czuwającą przy chorym, zjawił jéj się natychmiast hrabia otoczony promienną aureolą męzkiéj piękności i szlachetnego czynu. Pani Dębołęcka śniła również o nim, lecz w jéj widzeniu ulubieniec Gustawa przybierał rozmiary dzikiego orła, który chciał zatopić krwawe szpony w jéj dziecięciu i unieść je w przestrzeń daleką. Daremnie męczyła się długo aby go odegnać, aż zjawił się wreszcie nieznany jakiś młodzieniec, który pogromił orła i ten z dzikim okrzykiem uleciał w chmury podczas gdy jéj dzieweczka legła na ziemi znękana i blada. Promienie słoneczne zaglądając przez wązkie szyby rozwiały te mary i wznieciły w sercu biednéj kobiety wdzięczność dla hrabiego, równo bowiem ze świtem przysłał swego lekarza, który zbadawszy chorego uczynił zupełną nadzieję wyzdrowienia. Zosia pobiegła do kościoła, a tam leżąc krzyżem podczas Mszy dziękczynnéj odprawionéj przez przeora, do modlitwy błagalnéj za ojca, dołączyła westchnienie i za tego, który pomocą swą życie mu ocalił. Dzień cały zeszedł jéj wraz z matką u łoża rotmistrza, który nie mogąc mówić jeszcze, to uśmiechem, to skinieniem ręki wyrażał im swą wdzięczność za doznane starania. Nad wieczorem huk podobny do odległego grzmotu wstrząsł wszystkie okna izby i przerwał błogi spokój biednéj rodziny.

— To działa grają, jęknął rotmistrz, nasi potykają się znów z nieprzyjacielem.

Huk był coraz wyraźniejszym i kobiety wątpić nie mogły już o bitwie. Wkrótce wpadł przeor i oznajmił im, że nie dawno król szwedzki wysłał rot kilka z obozu pod Tczewem do Rokitek. Wieś ta zasłaniała wojska polskie przecinając drogę i była obsadzona strażą do koła, dwunastu finlandczyków mimo to przedarło się do wnętrza i zapaliło chat kilka. Trwoga widać ogarnęła oblężonych, bo słabo odpierają strzały i zda się, że już lada chwila poddać się muszą a Bóg ich chyba ocalić zdoła. Wieść ta jak piorun rozbiegła się po Tczewie i przeraziła serca mieszkańców. Kobiety i mężczyzni modlili się ze łzami o pomyślność bratniego oręża. Skoro mrok zapadł ucichły odgłosy bitwy, a natomiast gwar jakiś stłumiony dał się słyszéć w mieście. Wnet przeor wbiegł znów do komnaty swych więźniów rozpromieniony cały pomyślną nowiną.

— Bóg zmiłował się nad nami, rzekł prędko, w chwili gdy nasi już pierzchali prawie, a nie jednemu na myśl przyszło że żyw nie wyjdzie z tego piekielnego ognia, kula hajduka z pod chorągwi Koreckiego ciężko raniła szwedzkiego króla, wnet na hufce jego padł postrach wielki, zaprzestały boju unosząc pana swego, a nasi tymczasem zebrali się w jakim takim porządku.

Rotmistrz wzniósł ręce do nieba a łza zabłysła mu w oku. Obie kobiety wyszeptały również cichą dziękczynną modlitwę.

— Przed godziną wniesiono Gustawa Adolfa w mury naszego miasta, ciągnął daléj przeor, mówią że kula przeszyła mu łopatkę i szyję. Kto wie czy dumny Gustaw nie położy tu już głowy swojéj.... Ale czegoż chce od nas brat Kalasanty? czy znów jaką nowinę przynosi? Brat Kalasanty młody nowicjusz bardzo trwożliwego serca, wpadł mocno przerażony z doniesieniem że hrabia Thurn czeka u furty na panią rotmistrzową i jéj córkę. Pani Dębołęcka westchnęła smutnie wspomniawszy na słowa brata wyrzeczone o hrabi, Zosia zaś przycisnęła rękę do piersi tłumiąc zbyt silne uderzenie serca. Wódz Gustawa dał za powód swych odwiedzin troskliwość o zdrowie chorego, wzrokiem zaś wymownie okazał, że rad był jedynie widzieć Zofję. Rozmowa szła

wymuszenie gdyż nie podtrzymywała jéj matka, córka zaś niechcąc wyjawić swych uczuć odpowiadała również zimno i krótko. Po niedługiéj chwili hrabia odszedł zasępiony obiecując sobie jednakże wkrótce ponowić odwiedziny. O bitwie świeżo zaszłéj nie wspomniał ani słowa, niechcąc drażnić uczuć kobiet. W parę dni pojawił się znowu, późniéj codziennie prawie przychodził. Zofja widocznie podbiła jego serce, harda dziewczyna nie dała mu jednakże ani słowem ani wzrokiem zachęty. Nawykły do łatwych i przelotnych miłostek, przestraszył się prawie skoro zmiarkował że z prostém i bogobojném szlacheckiém dziewczęciem, trudniejsza sprawa aniżeli z dworskiemi niewiastami. Była chwila w któréj zniechęcony probował zapomnieć Zofji, lecz jakby na przekor obraz jéj coraz silniéj wrażał mu się w serce, postanowił więc daléj jeszcze probować szczęścia. Odgadywał że osoby otaczające dziewczynę nie wpłyną na korzyść jego, przemyśliwał więc jakby ją zdala od nich usunąć. Rotmistrz tymczasem zwolna do zdrowia przychodził; otoczon tkliwém staraniem żony i córki, musiał im wybaczyć że zachowały mu życie za pośrednictwem nieprzyjaciela; dziwiła go tylko nie pomału wspaniałomyślność hrabiego, któréj nie dorozumiewał się przyczyny. Pani Dębołęcka odgadywała ją po troszę i drżała myśląc o następstwach całéj téj przygody. W sercu Zofji toczyła się dziwna walka, hrabia pociągał ją ku sobie i odpychał zarazem. Widziała w nim jednocześnie szlachetnego rycerza i okrutnego wroga. Przeor nie domyślając się niczego nie raz wraz z rotmistrzem wydziwiał łagodne postępowanie srogiego wodza. W prostocie ducha sądził że upamiętał się skutkiem słów proroczych zapowiadających mu zgon bliski i czekał nawet rychło porzuci heretyckie błędy i zawezwie go do siebie, żądając poznać naukę prawdziwego kościoła. Pewnego wieczora brat Kalasanty zniszczył po części te słodkie marzenia niespodziewanym zwierzeniem. Nazajutrz rano zafrasowany zakonnik przywołał siostrę i powiódłszy do chóru po za wielkim ołtarzem w kościele, wylał przed nią serce swoje.

— Wczoraj, rzekł, już po pacierzach wieczornych przyszedł do mnie Kalasanty. Był drżący niby od febry i bardzo blady, ażem go spytał czy zaniemógł nagle? ale on mi na to, że jedynie przestrach wielki o ten stan go przyprawił, o zmroku bowiem Wilfrid poufały zausznik hrabiego Thurna, przydybał idącego za sprawunkiem przez miasto i pociągnął z sobą do ustronnéj gospody. Kazawszy zastawić dzban miodu, rozpytywać począł najpierw o więźniów klasztornych, tak bowiem was nazwał, a potém zaraz jął wybadywać o dziewkę waszą, co porabia? gdzie się obraca przez dzień a gdzie sypia w nocy? Brat nasz zmiarkował od razu, że w téj ciekawości coś niedobrego się święci, więc rad był zbyć go ni tém ni owém, lecz gdy szwed zwąchał że się wygadać nie chce, daléj że wsiadł na niego zakląwszy straszliwie: „Patrzcie go on myśli że mu się napraszać będę skoro mi coś wiedzieć potrzeba, jak gdybym w jednéj chwili nie mógł go wziąść na męki w których wyśpiewałby pewno, to nawet co mu przy spowiedzi na ucho szepcą!“ Wstał potém i odtrąciwszy dzban z miodem, którym wpierw częstował poszedł ku drzwiom. W Kalasantego już duch wstąpił że zbędzie się natrętnika, aliści ten zawrócił jeszcze nagle i wygrażać począł jeśli przed kimkolwiek słówko piśnie z tego co słyszał przed chwilą. Powracając do klasztoru bił się z myślami braciszek czy zachować milczenie, czy wyjawić tę przygodę; lecz wreszcie uwaga że może hrabia przeciw wam coś knowa, sprawiła że mi wypowiedział wszystko. Zaniepokoił mię trochę, bo odgadnąć trudno coby to było, témbardziéj, że przecież niktby nie przeszkodził hrabiemu działać otwarcie?

A mnie się zdaje, rzekła pani Dębołęcka z westchnieniem, że właśnie ma słuszne powody aby ukrywać swe zamiary.

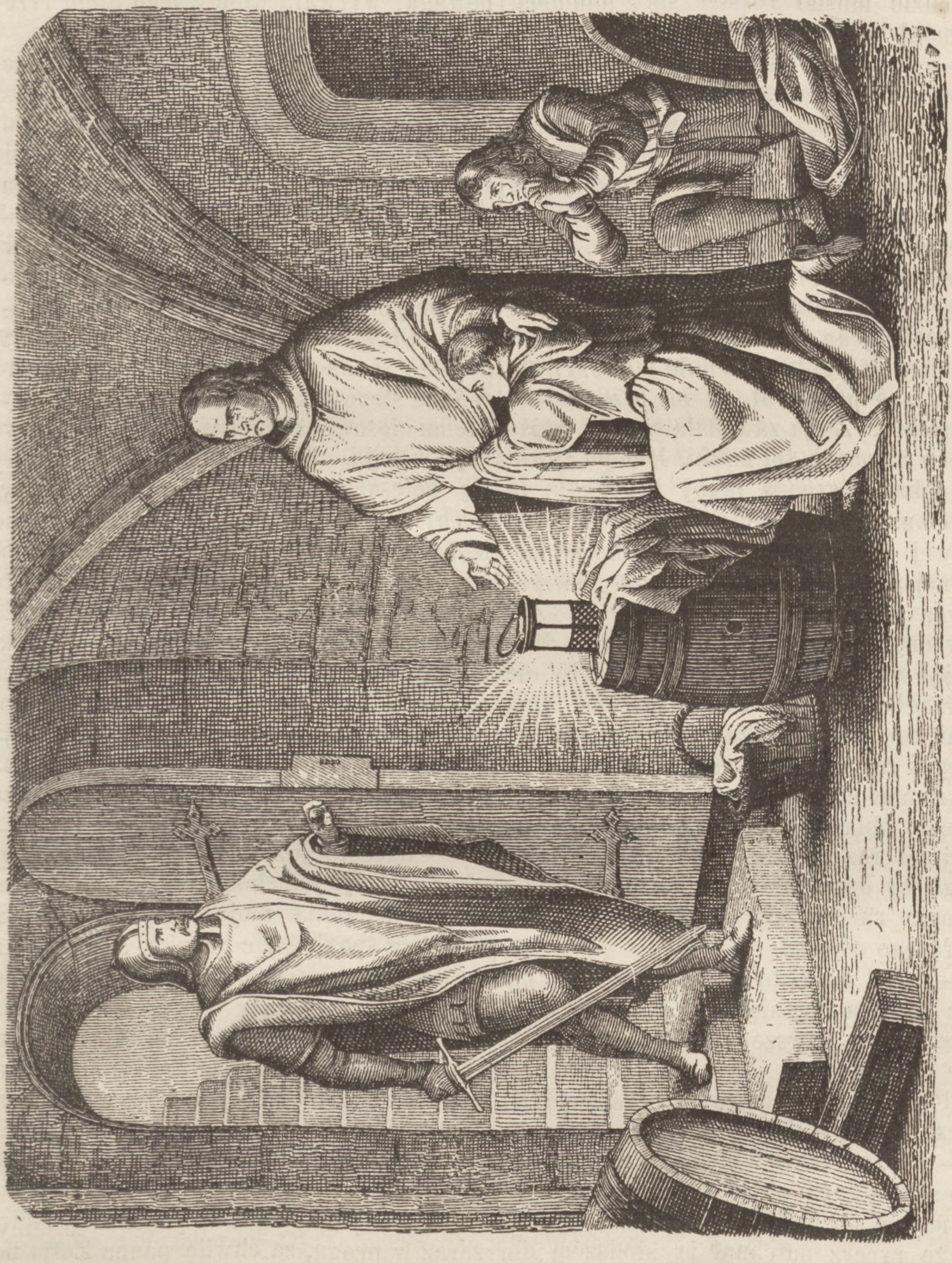
— A więc domyślacie się o co mu chodzi?

— O! i dawno bracie miły, lecz widzę już teraz że domniemań mych dłużéj kryć nie mogę przed wami, posłuchajcie mię jeśli macie czas po temu.

—I owszem, i owszem pani siotro, ciekaw nawet jestem co to być może.

Rotmistrzowa jęła rozpowiadać wtedy wszystkie najdrobniejsze szczegóły spotkania z hrabią, z których wnosiła że tenże od pierwszego wejrzenia zajął się żywo Zosią, a obecnie przekonany że nie zyska łatwo jéj wzajemności, pragnął aby ją popotajemnie uprowadzić z klasztoru, niechcąc jawnym czynem gwałtu zniechęcać ją gorzéj jeszcze do siebie. Zdziwiło nie pomału to zwierzenie przeora, niechciał z razu dać wiary aby krewniaczka jego obałamucić miała słynnego wodza, zważywszy jednakże znaną słabość tegoż dla pięknych niewiast, przyznał wkońcu że siostra słuszność mieć może. Należało obecnie jak najspieszniéj zaradzić złemu, to jest przeszkodzić aby Zosia nie wpadła, uchowaj Boże! w zastawione na nią sidła. Wyzwolić dzieweczkę z niewoli niełatwo było rzeczą, bo miasto do koła strzegły nieprzyjacielskie czaty i nie wolno było wydalać się po za mury wszystkim jego mieszkańcom. Kilka dni minęło, a poczciwy zakonnik nie pomnąc że naraża swą głowę, odpowiedzialnym będąc za uwięzionych, rozmyślał jakby wybawić całą rodzinę z niewoli. Pani Dębołęcka również o tém marzyła, nie wiedzieli jednak oboje co przedsięwziąść mają, gdy niespodziewany wypadek w pomoc przyszedł ich utrapieniu. Chorąży Klicki, młodzieniec pełen roztropności i odwagi przedarł się do klasztoru w ubiorze wiejskiego przekupnia idącego za sprzedażą warzywa do miasta, aby ofiarować rotmistrzowi pomoc krewnego jego Moczarskiego, dzielnego wodza Lisowczyków, który dokazywał cudów waleczności w téj wojnie i niejednokrotnie niepokoił szwedów. Pan Moczarski oznajmić kazał, że w powrocie z Gdańska gdzie z trzema chorągwiami odprowadził posłów hollenderskich stanów, przybyłych do nieprzyjacielskich obozów z ofiarą pośrednictwa pokoju, wpadnie nocą do obozu pod Tczewem, aby przetrzepać wrogów i przy téj sposobności uwolnić przyjaciela. Pomysł ten aczkolwiek zuchwały, nie zdziwił jednakże tych co znali męztwo wodza i owszem przyklasnęli mu radośnie. Jedyną przeszkodą była obawa niebezpieczeństwa, na które uciekając narażano przeora, lecz poczciwy zakonnik usunął ją zapewnieniem że potrafi się zabezpieczyć. Rotmistrz który o własnych siłach przechadzać się już poczynał, rozradowany nadzieją bliskiego wyzwolenia, uczuł jakby nowe życie w piersiach, żona zaś jego złożyła ciche a serdeczne dzięki niebu za niespodziewany ratunek dla córki. Sama tylko Zosia zadumała się smutnie. Podczas gdy wysłaniec wodza naradzał się z rodzicami i przeorem jak ułatwić ucieczkę, milcząca i blada rozważała chwile ubiegłe bez powrotnie; postać hrabiego jawiła się przed oczyma jéj duszy, w całém świetném otoczeniu szlachetnych przymiotów w które ją przystrajać lubiła. Zauważała matka to zasępienie córki i tém mocniéj radowała się, że wkrótce oddali ją od niebezpiecznego wpływu obcego wielbiciela. Nie rozpamiętywała jakby to czyniła w innéj chwili, nad niebezpieczeństwem jakiém groziła ucieczka, złe bowiem którego uniknąć pragnęła przerażało ją stokroć więcéj. Uradzono że chorąży przybędzie za dni parę w témże samém przebraniu i dopomoże więźniom do wydostania się z Tczewa. Późno w noc miał wraz z niemi podziemiem wyjść aż po za bramy miasta, w chwili gdy pan Moczarski uderzy z przeciwnéj strony na nieprzyjaciela i zabawiwszy go tamże, da czas uciekającym do połączenia się z oddziałem, który czekać będzie w pobliżu, aby ich doprowadzić manowcami do polskiego obozu. Gdy się to działo w dominikańskim klasztorze, hrabia Thurn chodząc niespokojnym krokiem po swéj komnacie rozmyślał azali uda mu się uprowadzić z klasztoru Zofję. Aby w niéj saméj nieobudzić podejrzeń jako on jest sprawcą tego czynu, umyślił wywieść ją za granicę kraju i niepokazywać się zrazu. Późniéj dopiero chciał się zjawić jako wybawca z niedoli, do któréj się nie przyczynił w niczem; nie wątpił że wtedy z łatwością pozyskać potrafi wzajemność dziewczęcia, strapionego długiém oddaleniem od ojczyzny i rodziny. Wilfrid miał polecenie zająć się zręczném wykonaniem zamiarów pańskich, w tym celu zagadł brata Kalasantego, a zmiarkowawszy, że nie uda się znim sprawa, zwrócił oczy na kulawego żebraka przesiadującego w kruchcie kościelnéj. Tą razą nie

doznał zawodu, gdyż żebrak przynęcony nadzieją sutéj nagrody, zobowiązał się podstępem przywieść pannę Dębołęcką w miejsce oznaczone, w którém na nią czekać mieli może od lat wielu. Litościwa dziewczyna obdarzyła go sutszą niż zazwyczaj jałmużną i przyobiecała odwiedzić wkrótce staruszkę. Podczas gdy zausznik Thurna



Czego żądacie od nas panie hrabio? rzekł z zimną powagą.

wysłańcy hrabiego. Zaraz też nazajutrz gdy Zosia wychodziła z kościoła jął jéj rozpowiadać zmyśloną powieść o choréj matce, która o swéj mocy z łoża wstać nie gotował jéj zgubę, Zofia jak to już powiedzieliśmy wyżéj, ze ściśnioném sercem myślała o bliskiém opuszczeniu Tczewa. Dla lepszego ukrycia swych zamiarów, hrabia

nie odwiedzał jéj od dni kilku, a w skrytości serca pragnęła ujrzéć go jeszcze po raz ostatni.

Zakochany wódz rozmyślał ze swéj strony, że gdy spełni swe zamiary, na długo będzie musiał rozstać się z ulubioną. Nie mógł bowiem podążyć za nią w kraj obcy wpierw nim otrzyma zezwolenie Gustawa, któremu zobowiązał się poświęcić swe usługi podczas całéj wyprawy pruskiéj. Zważywszy to wszystko, gdy Wilfrid zapowiedział mu że uprowadzenie Zofji wkrótce nastąpi, nie mógł się oprzeć chęci odwiedzenia jéj natychmiast. Dziwnym trafem było to wigilją dnia, w którym chorąży miał ułatwić ucieczkę więźniów. Pani Dębołęcka zajęta była wraz z bratem ostatniém przygotowaniem do podróży, rotmistrz zaś probował sił na przechadzce w ogrodzie. Zofja zawahała się czy wyjść może w nieobecności matki? lecz po chwili moc jakaś nieznana jakby popchnęła ją ku temu. Hrabia siedział zamyślony na dębowéj ławie, gdy sunąc lekko po kamiennéj posadzce, stanęła przed nim powiewna i urocza postać dziewczyny. Zachwycony zerwał się i pierwszy raz dłoń jéj ujął w obie ręce. Zofja jak gdyby nie dostrzegła tego stała nieporuszona. Ona również na widok męża który panował od jakiegoś czasu w jéj myśli, nie zważała na nic krom na niego i zatopiwszy wzrok w tém piękném obliczu, myślała tylko, że go już widzi po raz ostatni. Po chwili dopiero jak gdyby oprzytomniała, bo szkarłatnym spłonęła rumieńcem i wyrwała dłoń swą z gorącego uścisku.

— Zofjo! rzekł hrabia po raz pierwszy zwąc ją tém imieniem — Zofjo czemu się lękasz, czyż zawsze chcesz widzieć we mnie wroga?

Głos jego pełen dźwięku i czaru, silniéj jeszcze poruszył dziewczynę.

— Nie, odrzekła z cicha, pamiętam tylko o szlachetném obejściu waszém z nami, a w mowie jéj brzmiało nieledwie wyznanie, że rycerz natchnął ją słodszém dla siebie uczuciem. Tyle było wdzięku, prostoty i prawdy w całéj jéj postaci, że hrabia w owéj chwili zawstydził się swych zdradzieckich zamiarów i gotów był wyznać je w pokorze błagając przebaczenia. Zbliżył się znowu i ujął jéj rękę, lecz chwila zapomnienia szybko jak błyskawica przeminęła dla Zofji i w miejscu wspaniałego cudzoziemskiego rycerza, stał już przed jéj oczyma nieprzyjaciel; odsunęła się z zimną powagą, wyrwała dłoń z jego dłoni i rzekła drżącym boleścią głosem:

— Żartujecie sobie panie z ubogiéj dziewczyny zapominając że ona jest córą mężnego wojownika, którego zasługa w boju równym wam czyni. Hrabia cofnął się także rozdrażniony tą nagłą zmianą, a szlachetne postanowienia jego pierzchły jak mgła wiosenna. Nie ma rady z hardą dziewczyną, pomyślał w duchu i rzekł głośno przybierając obojętności wyraz.

— Chciałem was pożegnać na długo a może i na zawsze, odjeżdżam jutro w inne strony, kto wie, może ulegnę zwykłemu losowi żołnierza i położę głowę mą w boju. Słowa o rozstaniu ozwały się bolesném echem w sercu dziewicy, pochyliła głowę smutnie i mimowolnie może nie byłaby już dłużéj zdolną panować nad swém wzruszeniem, gdyby nie to że właśnie wtedy nadeszła matka. Hrabia nieukontentowany jéj obecnością, wyrzekł jeszcze nieznaczących słów kilka, poczem pożegnał się spiesznie. Wychodząc spotkał znów pełne uczucia wejrzenie Zofji, i pomyślał: Gdy zostanie naprawdę mą branką, łatwiéj może niż sądziłem z razu przyjdzie mi pozyskać jéj serce.

— Więc to już raz ostatni widzę jego oblicze, więc już skończyły się na zawsze senne marzenia moje, szeptała z cicha dziewica spoglądając za nim, a głos jakiś wewnętrzny potwierdzał to domniemanie.

Nazajutrz chorąży wierny danemu słowu, stawił się w klasztorze. Skoro tylko słońce zapadło w owym dniu pełnym niepokoju i nadziei, dla osób których opowiadamy wypadki, żebrak z pod dominikańskiego kościoła, przemknął się cicho do mieszkania Wilfrida.

— Już pora nadeszła panie mój, mówił zaraz w progu, za chwilę panna Zofja będzie w mocy waszéj, ufam wam zupełnie lecz czy nie raczylibyście powiedzieć jaka będzie nagroda waszego wiernego sługi, boć skoro się wszystko wyda, stracę na zawsze miejsce pod kościołem....

Wilfryd łyknął nie jeden kielich wina tego wieczora, był zatém pełen dobréj myśli.

— Masz psie podły, rzekł rzucając worek pieniędzy pod nogi żebraka, a wiedz że pan mój nie rachuje złota dla tych którzy mu wyświadczą przysługę, drugie tyle dostaniesz jeszcze po ukończonéj sprawie. Oko żebraka zaiskrzyło się radością, podniósł worek szybko, schował go po za podartą suknię i z niskim ukłonem zabierał się do wyjścia.

— Hola! niespiesz się tak bardzo, zakrzyknął Wilfrid, powiedz że mi jeszcze co uczynić zamyślasz?

— Moja to już rzecz, czestny panie, ale skoro wiedzieć chcecie, to powiem wam wszystko: Cały dzień dzisiejszy jakiś ruch niezwyczajny widziałem w klasztorze. pani rotmistrzowa osobliwie ciągle się oddalała na osobność z bratem wiodąc ciche rozmowy, podsłuchałem pod oknem jak wyraźnie układał się z nią przeor, aby poszła z nim nie zadługo do chóru i zaniosła tam szkatułkę, którą wyjęła z pod wezgłowia męża.... widno zamurowywać będą pieniądze.... ja więc wtedy wpadnę do panny z jękiem że matka moja bliska zgonu od wielkich boleści. Zdawna już obiecała ją odwiedzić, ulituje się pewno nad mą niedolą i pójdzie.... gdyż stary ojciec co ledwo się zwleka z łoża nie przeszkodzi temu....

—Ho, ho, a jeżeli matka powróci w prędce? a jeżeli pójść nie zechce wreszcie?

— To pójdzie inną razą, ale mam jakieś przeczucie, że nam się wszystko dobre dziś powiedzie, tylko czasu tracić nie mogę...

— No to ruszaj do djabła przeklęty gaduło.

Żebrak nie dał sobie powtarzać dwa razy zaklęcia i pędem pobiegł do klasztoru. Nie omyliły go po części domysły. Pani Dębołęcka w istocie miała wpierw wraz z bratem i chorążym udać się do podziemia i przenieść szkatułeczkę podróżną, zawierającą szczupłe jéj mienie. Późniéj nieco dopiero przeor miał doprowadzić jéj męża i córkę, niechciał bowiem zwracać uwagi mieszkańców klasztoru wyprawiając jednocześnie wszystkich.

Żebrak miał szczęście gdy bowiem wbiegł zadyszany, zastał już tylko ojca i córkę. Jął zaraz lamentować nad swą biedą i błagać o ratunek, Zofja wiedziona uczuciem litości, dowiedziawszy się że stara kobieta mieszkała tuż pod klasztorem, prosiła ojca aby dozwolił odwiedzić ją na chwilkę, lecz rotmistrz opierał się temu całą siłą, jak gdyby tknięty złowrogiém przeczuciem. Dziewczyna szeptała mu na ucho że przeor nie zaraz jeszcze powróci, albowiem z umysłu przeczeka chwilę przeprowadziwszy jéj matkę. Żebrak tymczasem jęczał i zawodził coraz głośniéj, stary wojak znudzony wkońcu tém naleganiem, zapewniony wreszcie uroczyście, że tylko przez ulicę przejść wypadnie, machnął rękę na znak przyzwolenia. Zofja powstała szybko aby nie tracić czasu, który i tak już przemijał daremnie, żebrak poprzedził ją do drzwi lotem błyskawicy. Już oboje stanęli za progiem i byli w przedsionku, gdy nagle niby anioł stróż lecącéj w przepaść dziewczyny, zjawił się przeor. Utkwił przenikliwy i zdziwiony wzrok w nieszczęsnego włóczęgę jak gdyby odgadywał podstęp jego, ten zaś pojąwszy że wszystko tą razą przynajmniéj stracone, cofnął się pomieszany. Zofja opowiedziała w krótkich słowach krewnemu cel swéj wycieczki i prosiła aby jéj nie przeszkadzał.

— Nie wiedziałem iżby on miał schorzałą matkę w pobliżu, lecz jeżeli tak jest wyślę do niéj brata Ambrożego, odparł po chwili namysłu, ty zaś moja dzieweczko pozostaniesz w domu, pora zanadto spóźniona dodał kładąc nacisk na te ostatnie słowa, abyś wychodzić miała. Na wzmiankę o ojcu Ambrożym, żebrak skoczył jak oparzony i wkrótce był już na dziedzińcu, wiedział bowiem, że mnich ów zna go dobrze i wié że matki oddawna nie ma, nie chciał więc czekać dłużéj aby się wstydu najeść.

— Co mu się stało że tak zmyka mówił zakonnik, jest w tém jakaś nieczysta sprawa temu człowiekowi nie dobrze patrzy z oczu.

— Ja myślę że widząc jako już z nim nie pójdę, sam do choréj pośpieszył, odparła Zofja.

— A ja podejrzewam rzecz inną, rzekł chmurnie przeor, wspomniawszy w téj chwili na opowiadanie braciszka Kalasantego, lecz nie możemy obecnie badać tego, idźmy w imię Boże, bo pono już wielki czas po temu.

W milczeniu przy świetle latarni szli przez klasztorne korytarze do chóru, obszerne schody prowadziły ztamtąd do sklepionéj izby, gdzie podnosił się kamień w podłodze wiodąc w podziemne przejścia. W sklepie czekał już braciszek Kalasanty i wierny pachołek klasztorny, aby kamień odwalić, czekała też niecierpliwie pani Dębołęcka wraz z wysłańcem pana Moczarskiego. Żegnał i błogosławił przeor ze łzami opuszczającą go rodzinę, a gdy kamień zapadł za odchodzącemi, dla niepoznaki zatoczył nań pustą beczkę z wina w żelazne kutą obręcze, ukląkł potém modląc się głośno za pomyślną przeprawę uciekających. Zaledwie powstał, szczęk mieczów rozległ się w chórze po nad głową, a wkrótce rozwarły się z trzaskiem drzwi od wschodów i stanęła przed nim groźna postać zbrojnego rycerza. Braciszek Kalasanty padł na kolana chwytając konwulsyjnie za suknię przeora, przerażony pachołek ukląkł również chowając się za nim i sam jeden przełożony tylko zachował zupełną przytomność.

— Czego żądacie od nas panie hrabio? rzekł z zimną powagą poznając w przybyłym przyjaciela Gustawa.

— Więźniów moich których pod waszą zostawiłem strażą, rzekł z uniesieniem gniewu Thurn.

— Nie ma ich tu, odparł spokojnie przeor, kłamać nieumiem więc muszę wyznać prawdę.

— Powiedz zatém gdzie są, bo inaczéj ty i twoi odpowiecie głowy waszemi za ich ucieczkę.

— Wierzajcie mi, przysięgam słowem kapłańskiém, że żaden z zakonnych braci nic nie wié, co zaś do mnie życie moje w ręku waszém, lecz nie sądźcie abym przeto wydał bliskich krewnych moich.

— Zobaczemy zawołał groźnie hrabia, zobaczemy, jak śpiewać będziesz gdy cię wziąść każę na męki, tymczasem ruszaj i prowadź mię po wszystkich zakątkach tego piekielnego gniazda, ale wpierw jeszcze przekonać się muszę, czy to sklepienie nie ukrywa tajemnego wyjścia.

Przeor zbladł i zadrżał boleśnie, miarkował bowiem po czasie, że uciekający nie stanęli jeszcze wśród swoich, wpadłszy zaś na ślad drogi, wróg mógł ich dogonić łatwo. Nie okazując jednakże przerażenia swego, wziął światło do ręki i szedł z niém oświecając ściany. Hrabia klasnął w ręce i nadbiegło z góry kilku drabów, a z niemi Wilfrid i żebrak, który zrozpaczony że go minie nagroda, pozostawszy jeszcze chwil kilka na czatach u furty, widział przez szczelinę, jak rotmistrz wraz z córką opuszczał komnatę i przeczuwając ich ucieczkę pobiegł ostrzedz szwedów. Hrabia zaraz co żywo skoczył do klasztoru, wpadł najpierw do opuszczonéj komnaty a następnie do chóru i do sklepu.

Skoro zbrojna czereda plądrować poczęła szukając drzwi ukrytych, przeor widząc nieochybną zgubę swoich, Bogu ich tylko polecił.

— Do podłogi, bierzcie się do podłogi! wołał Wilfrid, gdy obejrzeli już ściany. Huk palnéj broni i na raz odgłos dzwonów przygłuszył te słowa.

— Zdrada! krzyknął hrabia, zdrada! powtórzyli za nim siepacze i jednym skokiem byli już u drzwi kościelnych, skąd pognali wnet do obozu.

— To pan Moczarski swoją grę rozpoczyna, dzięki ci o wielki Boże! nasi ocaleni, rzekł wznosząc oczy do nieba przeor.

Nazajutrz rano pan hetman Koniecpolski ściskał wodza lisowczyków, który przechodząc nocą, mimo Tczewa dzielnie przetrzepał szwedów, a przy tém zabrał im wiele ludzi i kilka set koni. Rotmistrz wraz z żoną i córką dzielił radość powszechną w polskim obozie.

W kilka dni potem wydalił się do krewnych żony, od których wieś zadzierżawił nie będąc już zdatnym do boju, z powodu ran odniesionych w ostatniéj potrzebie, gdzie jak już wiadomo o mało nie legł na placu. Gospodarząc na zagonie wspominał gorąco lata spędzone na wojaczce i słuchał chciwie opowiadań z pola bitwy. Zabawiał go niemi pan chorąży Klicki

który często rad nawiedzał państwa Dębołęckich. Zdawało się że Zofja wpadła w oko i serce młodemu, rodzice chętnieby go przyjęli za zięcia, lecz dziewczyna widocznie odpychała te zaloty. Jeśli mamy wyznać prawdę, to hrabia panował jeszcze wyłącznie w jéj myśli i przeto nikim innym zająć się nie mogła. W parę miesięcy po wyżéj opowiedzianych wypadkach stanął obszerny wóz kryty przed dworkiem rotmistrza i z wielką radością wszystkich wysiadł zeń przeor, którego już pono miano za umarłego. Po serdecznem powitaniu zasiadłszy wraz z całą rodziną około obszernego komina na którym suty ogień płonął, jął rozpowiadać co zaszło w klasztorze i obozie pod Tczewem, od chwili ucieczki więźniów. Skoro niespodziewanie uwolniony został od napaści hrabiego, wracając do swéj celi, zastał w kruchcie klasztornéj żebraka płaczącego gorzko. Na zapytanie coby było powodem do takiego lamentu, kaleka rzucił mu się do nóg i wyznał zdradę w któréj tak czynny brał udział, a żadnych innych nie zebrał owoców, jeno strachu co z nim będzie skoro szwedzi powrócą. Błagał o przebaczenie i opiekę, któréj mu nie odmówił zdjęty litością zakonnik. Pokazało się jednak, że niedługo z niéj korzystał, bo wkrótce przepadł gdzieś bez wieści. Jedni mówili że przystał na szpiega do szwedów drudzy że zginął z Wilfrida ręki, dość że go nikt więcéj nie widział. Hrabia odgrażał się podobno na klasztor, lecz zmuszony rozkazem Gustawa niebawnie cofnął się pod Żóławę i widać nie miał czasu na pomstę, rozpocząwszy tam wojenne harce wraz z Wranglem. Przybyło też kilka oddziałów pod wodzą Gerharda Denhofa aby wesprzeć obóz polski pod Libuszowem. Korzystał z téj okoliczności przeor aby odwiedzić siostrę i w chwili w któréj nieprzyjaciele ustąpili z pod Tczewa pojechał do niej. Opowiadanie zakonnika o zamiarach hrabiego, wielkie uczyniło wrażenie na Zofji, znikła aureola otaczająca skroń prawego rycerza, skoro tenże zdolen był podobnego dopuścić się czynu i powoli zatarło się zupełnie uczucie zachowane dotąd w sercu. Pani Dębołęcka z radością dostrzegła tę zmianę, zauważała nawet gdy przyjechał chorąży że Zosia mniéj obojętną była dla niego. Ośmielony jéj obejściem młodzieniec, odważył się wkrótce wyznać miłość swoją; za zgodą rodziców stanęło na tem, że się pobiorą zaraz po ukończonéj wojnie, tymczasem zaś uradowany przeor pobłogosławił ich zrękowinom. Niezadługo potém przyszła wieść, że hrabia Thurn po wzięciu Brodnicy wydanej zdradą francuza la Montagne'a umarł tamże nagle na plamistą febrę. Rotmistrz żałował, że tak dzielny wojownik nie legł raczéj na polu bitwy. Przeor zauważał że śmierć hrabiego przypadła na dni kilka przed końcem roku w którym zawezwano go niegdyś przed sąd boży. Pani Dębołęcka zmówiła cichą modlitwę, Zofja zaś ścisnęła rękę narzeczonego i spojrzała w niebo z uczuciem, w którém obok prośby za duszę zmarłego, przebijała wdzięczność za ocalenie jéj od zguby.

*A. z Ch. Borkowska.*

---

# WŁADYSŁAW BIAŁY KSIĄŻE GNIEWKOWSKI [1]).

(Dalszy ciąg.)

Od czasu do czasu nawiedzali tajemniczego gościa Ulrycha, gońce z wielkopolskiéj ziemi, nikt jednak nie mógł się od nich dowiedzieć niczego, coby rzucało światło na stanowisko i pochodzenie rycerza. Posłańcy owi zazwyczaj krótko ba-

1 W ostatnim styczniowym poszycie Kółka, przez omyłkę drukarską zamieszczono niewłaściwie na str. 319 na szpalcie pierwszéj w wierszu 19, ustęp z przedmowy do niniejszego opowiadania, któren być winien na szpalcie pierwszej str. 318 w wierszu 28, dokończenie zaś tego ustępu całkiem pominione zostało, zamieszczamy je przeto poniżéj:

Zaledwie uspokoiły się rozruchy poskromieniem pierwszego buntu Władysława Białego, aliści po upływie niespełna jednego roku, nowe wypadki które wy-

wili w zamku, a ostrożność z jaką ich do bram wpuszczano, nasuwała myśl, że ważne na zamieszkałym tam obecnie rycerzu spoczywały sprawy.

Wszedłszy do zamku przez most i bramę, ozdobioną u góry potwornemi ludzkiemi głowami, widać było czworoboczny dziedziniec w połowie opasany murem, a w połowie prostokątem gmachu który się składał z głównego korpusu i dwóch skrzydeł, z dwoma basztami po rogach. W korpusie była druga brama, z herbami dawnych i dzisiejszych panów, z któréj rozchodziły się wązkie korytarze wiodące do środkowych komnat. Na lewo przeszedłszy kilkadziesiąt schodów było dwoje drzwi, z których jedne wiodły na ganek, a drugie do obszernéj gościnnéj komnaty. Wszystko znalazłeś tutaj na co mógł tylko zdobyć się przepych ówczesnéj epoki; bogate kobierce tkane na wschodzie, a wyszywane w różne fantastyczne wzory zdobiły ściany, na półkach stały rozstawione bogate czary z jaspisu i ze złota, wyobrażające smoki, lwy, lub ptaki skrzydlate szczególnie misterną odznaczające się robotą. Na środku pokoju, około okrągłego stołu siedział hrabia Ulrych z gościem swoim, owym tajemniczym nieznanym w okolicy przybyszem. Obadwaj i hrabia i gość jego byli już nie pierwszéj młodości; Ulrych nosił krótko ostrzyżone włosy, które były nieco przypruszone siwizną, twarz jego długa, z brodą śpiczastą, miała figurę trójkąta, oczy siwe, małe, ale niezmiernie ruchliwe, jak żywe srebro, czoło wązkie i pomarszczone, a brwi czarne, gęste i podniesione, schodząc się prawie z sobą, tworzyły jakby jedną oprawę naokoło oczów, dodajmy do tego usta zaciśnięte szyderczym i zimnym zawsze uśmiechem, a będziemy mieć wizerunek postaci człowieka, dla którego żadna przyjaźń ani żaden związek nie był o tyle świętym, ażeby wahał się go rozerwać, skoro miał nadzieję najmniejszego zysku. Drugi z nich, był nieco młodszy i zdawał się mieć około lat czterdziestu. Twarz jego nosiła cechę otwartości i rzec można że była wcale piękna; czoło miał duże, oczy niebieskie a włosy jak len białe. Widząc go po raz pierwszy, zwłaszcza kiedy zadumał się na chwilę, rzekłbyś że oblicze to było wyrazem łagodności duszy i spokojnéj męzkiéj odwagi, lecz popatrzywszy nań uważniéj i dłużéj, zacierało się szybko pierwsze wrażenie. Jak na niebie przysłonioném chmurami, na którém najdziwniejsze a ciągle zmienne i ruchliwe przesuwają się obrazy, podobnież na licu jego, niby chmura za chmurą, najsprzeczniejsze rysowały się i przemijały uczucia. Po dłuższém wpatrywaniu się w zwierciadło téj niespokojnéj duszy, rzekłbyś zapewne, że to jest jeden z tych charakterów silnych i miękkich, dobrych i złych zarazem, słowem bogatych światłem i cieniem, ale niestałych jak niebo jesienne.

Hrabia i towarzysz jego zajęci byli przed chwilą żywą rozmową, teraz zaś pierwszy wodził na około sali ruchliwemi oczami, jakby oczekiwał z niecierpliwością, aż tamten się ozwie. Niezadługo też gość przytknął do ust czarę z winem, która przed nim stała i znów przerwał milczenie:

— Hrabio Ulrychu, rzekł, nim wam odkryję wszystko co mię najwięcéj boli i

nikły z powodu zjazdu w Koszycach, dały powód Gniewkowskiemu księciu do powtórnego pokuszenia się o zdobycie władzy i do korzystania z niezadowolenia wielkopolskiéj szlachty, na któréj czele stali gorliwi obrońcy dawnego prawa i obyczaju Nałęcze. Od téj chwili występują na widowni dziejowéj, w śmiertelnych zapasach z sobą dwa wrogie stronnictwa, znane pod nazwiskami przewodniczących im rodzin: Nałęczów i Grzymalitów. Ci ostatni, ponieważ piastowali znakomite urzęda w kraju i połączeni byli związkami rodzinnemi z małopolskiemi panami, nietylko nie sprzeciwiali się postanowieniom koszyckiego zjazdu, ale owszem przyklaskiwali w duszy ustawie, która im widocznie zapewniała korzyści *. Nie będziemy opisywać szczegółów tego zjazdu, powiemy tylko, że wymuszony gwałtem podpis koszyckiéj ustawy, oburzył silnie i rozjątrzył umysły wielkopolskiéj szlachty, jakoż nie potrzeba było na to długiego czasu, ażeby walka stronnictw powstała na nowo i z większą od poprzedniéj zaciętością. Tymczasem nieład i bezprawia co raz dotkliwiéj czuć się dawały wszędzie, a żaden właściciel nie był pewny całości mienia ani osoby, pozostając ciągle pod strachem najazdów wewnętrznych i postronnych. Pod taką to smutną wróżbą rozpoczął się rok 1375, do którego się odnosi niniejsze opowiadanie nasze.

*) Przywiléj Ludwika króla węgierskiego, wydany w Koszycach 17 września 1374 r. rozszerzył ogromnie wpływ możnowładztwa uwolnieniem od podatków i obowiązków, do których każdy obywatel kraju poczuwać się był powinien, ustawa ta dopełniła długiego szeregu przywilejów, które z ujmą swéj władzy rozdawali Piastowie; ale warunek ze strony Ludwika, ażeby jedna z córek jego w braku męzkiego potomka wstąpiła na tron, zagrażał tym swobodom. Znaczna część mężów dbałych o przyszłość kraju troszczyła się wielce, nie pewną będąc, w jakie ręce dostaną się rządy państwa, skoro przeznaczona na tron córka Ludwika połączy się związkiem małżeńskim.

przełożę moje zamiary na przyszłość, musicie mi pierwéj powiedzieć, jakie wieści odebraliście świeżo z Węgier i wyznać szczerze co myślicie o mojéj wprawie?

— Co myślę? odparł Ulrych zimno, opierając się o stół rękami i patrząc przenikliwie na twarz gościa, a cóż mogę myśleć o czém wy książe sami niewiedzielibyście dotąd jeszcze? dałem już nieraz dowód że żadnéj dla was nie mam tajemnicy, wszakże powiedziałem dawno że macie przed sobą dwie do wyboru drogi: jedna was może doprowadzić do tronu, jeżeli zechcecie korzystać z przyjaznych okoliczności; druga zaś łatwiejsza i daleko łatwiejsza, to jest, żebyście porzucili rycerską zbroję, a przywdziali znowu kaptur zakonny.... tu zatrzymał się nagle, a nieznaczny szyderski uśmiech wykrzywił mu usta.

— Nie, nie tego chciałem się od was dowiedzieć. Tak, wiem i znam dobrze obydwie drogi, ale jedna z nich niebezpieczna, a druga nie przystoi mi w téj dobie. Ja myślałem jeszcze o wyborze trzeciéj i w tym celu chciałem zasięgnąć waszéj rady.

Powiedzcież mi wyraźnie co rozumiecie przez tę trzecią, bo ja wiem że prócz tych które wymieniłem, każda grozi wam niechybną zgubą.

— Myślę o pojednaniu, czy nie widzicie możności pogodzenia się z królem?

— I owszem, on gotów pojednać się z wami, a nie tajno jest wam zapewne jakie warunki kładzie.

— Jakże? powiedzcie, czyżbyście słyszeli co nowego?

— Nic nowego, stare i bardzo stare rzeczy, bo już powtórny rozkaz króla odebrali starostowie, ażeby was pojmać koniecznie, a za głowę waszą przysądzona jest nagroda.

Co mówisz Ulrychu, zawołał xiąże, zrywając się z rozpłomienioną twarzą.

— Czy wam dziwno? wszak o tém dawno powinnibyście wiedzieć że nie prędzéj jak po waszéj śmierci Ludwik węgierski pojedna się z wami, jeźli nie ustąpicie dobrowolnie z granic wielkopolskiéj ziemi, boć tę a nie inną odebraliście odpowiedź na sprawiedliwe żądanie, ażeby wam zwrócił dziedzictwo przodków Księstwo Gniewkowskie.

— Jam szalony Ulrychu, nieprawdaż że szalony byłem, kiedym zamarzył że Ludwik pojedna się ze mną i zwróci mi moje dziedzictwo?

— Nie taiłem i nie taję przed wami, że dopóki przemoc będzie na stronie króla, pomiędzy nim a wami żadnego nie może być układu, bo wy, jako najbliżsi tronu Piastów, zawsze dla jego dumy i chciwości będziecie śmiertelnym wrogiem. Chytry Ludwik wie o tém dobrze, że czyniąc was panem kraju w wielkopolskiéj ziemi, podałby sam na siebie miecz w wasze ręce, skoro większa połowa szlachty, o ile nienawidzi jego rządców, o tyle jest przychylną dla was, jako prawego i najbliższego z męzkiéj linji potomka, a zatém następcy Piastów.

— Szlachta, wielkopolska szlachta, Ulrychu!

— Szlachta was przyzywa i pragnie, jeno trzeba korzystać mówię i nie tracić czasu.

— Oni mię odstąpili przed rokiem, czy myślisz że teraz mogę im zaufać?

— Nie zbytecznie, boć na własnéj należy polegać mocy, ale oni teraz waszą stanowią siłę, więc ich wam użyć na swój pożytek potrzeba, skoro ku temu przyjazna wydarza się pora.

— A cóż pocznę jeśli mię znowu odstąpią?

— Zechcecież ufać mojemu słowu?

— Dałem już nieraz dowód tego, skoro jesteście powiernikiem mych myśli.

— A więc słuchajcie: nigdy tak przyjazne nie otaczały was okoliczności jak dzisiaj; cała wielkopolska ziemia jest kotłem który kipi namiętnościami gryzących się wzajemnie stronnictw, a żywioł niechętny względem króla i jego władzy srożéj niż kiedykolwiek burzy się i pieni. Ustawa Koszycka do żywego dotknęła upokorzoną szlachtę; jak pomiędzy wami a Ludwikiem, tak pomiędzy wielkopolską szlachtą a królem, nie może być mowy o żadnych układach. On za daleko się już posunął ażeby mógł myśleć o ustępstwach, a szlachta nie może oswoić się z myślą, że gwałt spełniony w Koszycach, zmusza ją do uzna-

nia rządów po śmierci króla, jednéj z jego córek.

Ich więc sprawa jest waszą sprawą, tylko baczcie na to książe, że każda chwila dzisiaj jest drogą, a więc bierzcie się prędko do dzieła, bo czas ucieka, a z nim zmieniają się ludzie i wypadki.

— Dobrze mówicie, nie trzeba tracić ani chwili, bo pora nastała do rozniecenia tego pożaru, który zakończyć się musi zwycięztwem albo śmiercią moją.

— Nie, zimno jak zawsze odparł Ulrych, pożar już jest rozniecony, my mamy być tylko wiatrem który go rozdmucha i w około rozniesie.

— Dzięki ci Ulrychu za dobrą radę, ty mi sił dodałeś w chwili w któréj byłem najwięcéj słaby.

— Słabość taka synowi Piastów nie przystoi.

— Wstydzę się jéj, wstydzę Ulrychu, ale wiele jest powodów, dla których waham się często i nie chcę doświadczać mojego losu.

— Wolnoż się zapytać jakie są te powody?

— Pierwszy leży w niepowodzeniu przeszłéj wyprawy, w niewdzięczności którą okazała szlachta, odstępując mię i porzucając mą sprawę.

— A drugi?

— Drugiego nie zgadlibyście nigdy, bo jest moją siłą i słabością zarazem.

— Nic w tém dziwnego, że nie odgadnę ani słabości o któréj mówicie, ani jéj przyczyny, ponuro przebąknął Ulrych, boć podobno już dużo upłynęło wody od czasu, kiedy tępiliśmy miecze na pogańskich karkach litwinów, a odkąd porzuciliście obóz krzyżacki aż do chwili wstąpienia na tron Ludwika, to jest do waszego powrotu do Wielkopolski, nie miałem o was żadnéj wieści.

— Tak od czasu téj wyprawy aż do mego powrotu upłynęło lat ośm, ale te ośm lat tułactwa mieszczą daleko więcéj przygód, niż całe życie nie jednego ośmdziesięcioletniego starca, który się ani razu nie wydalał z rodzinnéj ziemi. Wiesz jaka burza miotała mém sercem, kiedy opuszczałem obóz krzyżacki. Na krwawém pobojowisku, po ukończeniu walki, stanęła przedemną postać mojéj niedawno zmarłéj małżonki, wyciągała ku mnie błagalnie ręce, jak w owéj chwili, w któréj ją żegnałem po raz ostatni. Zdawało mi się że woła na mnie i że mam połączyć się z nią wkrótce. Więc porzuciłem rycerskie rzemiosło, a jedyną myślą moją odtąd było poświęcić dni na służbę Panu i zakończyć pobożne życie w cichych murach klasztoru. Ażeby ustrzedz się pokusy, którąby mię mogła przyciągać do świata, gdybym pozostał w rodzinnym kraju, wybrałem sobie miejsce pobytu, w jednym z klasztorów na francuzkiéj ziemi. Ale poczułem wkrótce, że cisza klasztornego życia była nie dla mnie i duch mój rwał się jeszcze więcéj niż przed tém do świata i do rycerskiéj sprawy, jak orzeł którego zamkną w klatce, czułem dopiero wtedy powab działania i swobody, kiedy jéj wyrzekłem się dobrowolnie. Skoro odmawiałem pacierze, szatan mi przedstawił muzykę i tańce, a z odgłosem organu i poważnych psalmów w kościele słyszałem szczęk broni i radośne pieśni zwycięzców, a więc jakoby przeczuwając inne cele, ku którym zwrócić się miałem wahałem się ciągle z wyrzeczeniem ostatnich ślubów zakonnych. Aliści dochodzi mię wkrótce wieść o śmierci Kazimierza króla, a w ślad za tą wieścią, śle do mnie wielkopolska szlachta posłów, ażebym przybywał czémprędzéj zająć tron Piastów, z którego chcą strącić Ludwika, jako gwałciciela ich praw i przywilejów. Ale po cóż mam powtarzać wam dobrze już znajome przygody, wszak wiecie o tém także, że wszystkie moje zabiegi u dworu w celu odzyskania ojcowizny, któréj wyrzekłem się lekkomyślnie na rzecz Kazimierza były bezskuteczne. Ludwik łudził mię blisko dwa lata nadzieją zwrócenia mi Gniewkowskiego księstwa, nie myśląc w głębi duszy bynajmniéj o dotrzymaniu płonnéj obietnicy. Otoczony na około nie życzliwemi ludźmi i nie widząc z nikąd pewnéj pomocy, możebym był upadł na duchu i porzucił dawno niebespieczne przedsięwzięcie, gdyby.... Tu zatrzymał się nagle książe i potarł ręką czoło, jakby usiłował przywołać dawno ubiegłe wspomnienia, ale wzrok którym zmierzył Ul-

ryka wykazywał zakłopotanie, którego doznajemy w chwili, kiedy mamy wynurzyć przed drugą osobą jaką ważną tajemnicę myśli lub serca, któréj ta nie domyśla się wcale.

Oczy Ulrycha obojętnie spotkały wzrok księcia, do którego przysunął się bliżéj i nadstawił ucha, jakby dając znak że gotów jest do wysłuchania tajemnicy.

Po chwili więc milczenia, książe mówił daléj:

— Gdyby nie pamięć niewiasty którą poznałem w Budzie, na dworze króla Ludwika, możebym nie kusił się długo o odzyskanie prawa, odziedziczonego po przodkach, ale myśl że Anna z Ujścia połączy się ze mną, nie dozwala mi spocząć na chwilę.

Córa Wedela? rzekł zdziwiony Ulrych.

— Tak jest Anna, córka Fryderyka Wedela, pana na Ujściu. Odkąd ją poznałem, odtąd całą duszą moją zapragnąłem znaczenia i sławy, jedynym celem mych myśli stało się odzyskanie Gniewkowskiego księstwa, nie wahałem się nawet sięgnąć ręką po berło i koronę.

— I to powinno być zawsze waszym celem! zawołał dobitnie Ulrych patrząc przenikliwym wzrokiem na Władysława, bo inaczéj utracicie wszystko i ani księstwa, ani Anny mieć nie będziecie.

— Gdybym miał pewność że król mi powróci dziedzictwo gniewkowskie i że otrzymam rękę Anny wyrzekłbym się praw moich do tronu. Napróżno próbowałem losu, kusząc się o pozyskanie korony; w saméj wielkopolskiéj ziemi, miałem wielu i znacznych wrogów, pomiędzy zaś temi których uważałem za przyjaciół, znalazłem więcéj podejrzanych niż wiernych; doświadczywszy ich już raz srodze, obawiam się im ufać. Powiedzcie mi, cóż w tém dziwnego, że w takich okolicznościach nie wahałbym się pojednać z królem, gdyby ta zgoda była możebną?

— Zapomnieliście książe, że wątpliwość waszą w tym względzie roztrzygnęliśmy przed chwilą i że przyznaliście mi słuszność kiedy okrzyknąłem się przeciw zamiarowi pojednania z królem, ale widzę że potrzeba was przekonać lepiéj, skoro słowa moje nie znajdują u was posłuchu. Zaraz wam stawię dowód, który spodziewam się że zwróci uwagę waszą.

Wyrzekłszy to Ulrych, wyszedł z komnaty, książe zaś przechadzał się wielkim krokiem z założonemi na krzyż rękami, w głębokiéj pogrążon zadumie. Wrócił po chwili hrabia z pargaminem w ręku, oddając go Władysławowi, rzekł: przeczytajcie uważnie.

Był to powtórny króla Ludwika rozkaz pojmania Władysława Białego, w którym stało wyraźnie, że jako wichrzyciel porządku i zdrajca kraju, ma być ścigany i zamordowany, a ktoby go pojmał lub zabił otrzymuje z królewskiéj szkatuły hojną nagrodę. Przeczytawszy kilka wierszy książe zadrżał cały i zakipiał gniewem, poczem z konwulsyjnym ruchem ścisnął pargamin, uderzył silnie o stół dłonią i wykrzyknął zmienionym głosem: tak, tak, niema pomiędzy mną a Ludwikiem żadnego miru! Ścigać mię każe i zabić jak dzikiego zwierza; niech i tak będzie, ale nim mię zabiją, stanę się jak zwierz dziki okrutny i w krwi wrogów moich pierwéj pławić się będę, Nié ma, nié ma miru, zwyciężyć lub zginąć muszę!

Z ostatniemi słowy wybiegł grożąc i pieniąc się w szalonym gniewie.

Ulrych widząc księcia w tym stanie zacierał ręce, a małe siwe oczy jego, niezwyczajnym zaiskrzyły się blaskiem; stał długo w pochylonéj postawie, obrócony ku drzwiom przez które wyszedł Władysław i uśmiechał się złośliwie, to znów przebierał po czole chudemi palcami, jak gdyby obliczał zyski, które mógł wyciągnąć z przymierza i ilość krwi, którą nowe rozruchy miały wytoczyć z żył wielkopolanów.

III.

W kilka dni po opisanéj powyżéj rozmowie, zaszła zmiana na zamku Ulrycha bo do przybyszów którzy w nim zamieszkali przybyła nadobna córka hrabiego Jadwiga, która z rozporządzenia niedawno umarłéj matki oddana była na lat kilka do sąsiedniego klasztoru. W tych dniach ukończyła lat szesnaście, a to był właśnie wyznaczony termin, w którym powinna była wrócić do rodzicielskiego domu. Ojciec, chociaż sam żądał jéj powrotu, przywitał

ją obojętnie i zimno, bo nawet dziecko własne, cenił tylko jak narzędzie dla dopięcia widoków chciwości i dumy. Skoro Ulrych dobrze przypatrzył się Jadwidze i zauważał jéj cudne kształty i twarz nadobną, uśmiech zadowolenia przebiegł na jego ustach i rzekł sam do siebie: „ażaliż ten kwiat cudny nie będzie mocen oczarować mojego księcia i wyrwać z jego pamięci oblicze Anny? O! Władysławie Biały, za nadto jesteś słaby, ażebyś mógł oprzeć się téj pokusie.“

I cieszył się w duszy chytry hrabia, uważając skoro siedzieli przy uczcie za stołem, że czoło księcia rozjaśniało się, gdy patrzył na twarz jego Jadwigi i że często poszeptywał jéj coś do ucha, kiedy dziewczę spuszczało ku ziemi oczy i rumieniło się jak kalina. Jakoż nic nie było niezwyczajnego w przypuszczeniach Ulrycha, bo córa jego była wielce nadobną, a Władysław, jak mu to sam wyznał, czuły był na wdzięki niewieście. Odkąd zawitała w ponurych komnatach zamku Jadwiga, nie tylko stary hrabia, ale wszyscy domownicy spostrzegli, że książe był mniéj zasępiony i niespokojny, a nawet od czasu do czasu krotochwilną zabawiał się rozmową i chętnie przesiadywał z dziewicą. Atoli skoro tego poranku przybyli do niego gońce z listami i odebrał wieści o Wyszocie z Kurnika, który był najżarliwszym jego sprzymierzeńcem, twarz zasępiła się chmurą, a zapomniawszy o chwilowéj rozrywce, zamykał się po całych godzinach w samotnéj komnacie i słyszeli słudzy Ulrycha, jak biegał wielkiemi krokami tam i napowrót i różne wykrzykiwał wyrazy.

Zostawmy do czasu Władysława zasępionego chmurą ponuréj wieszczby, która wisi nad jego czołem, a zapoznajmy się bliżéj z dziewicą, która jak kwiatek wśród ostów i głogów na dzikich wybujały zwaliskach, znalazła się nagle w murach wiejących zgrozą i zepsuciem, wśród ludzi których mordy i grabieże były jedynym żywiołem.

Jest odwieczne prawo Boże, mocą którego światło przegradza się i potęguje cieniem, a bujny kłos pszenicy wzrasta z pomiędzy licznego kąkolu. I rzuca Pan perły w swoje ciemne i niezmierzone otchłanie w których one świecą jak stalaktyty łzawe, połyskujące w pozbawionych dnia jaskiniach. Owóż spojrzawszy w oblicze téj szesnastoletniéj dzieweczki, która siedzi teraz w swéj komnacie i przygląda się z upodobaniem dziecięcia wiązance z kwiatów, rzekłbyś że ona jest tém cudnéj białości tajemniczém kwieciem, którego podobało się rzucić Twórcy wśród dzikiéj i ciemnéj przyrody. Za prawdę, była ona piękną; oczy jéj duże, błękitne, zdały się przesłonione mgłą lekką przejrzystą, jak niebo północy, a długie rzęsy, ocieniające blask źrenicy, nadawały jéj wyraz rzewności i zadumy. Jak promyk porannego słońca na gładkiéj fali jeziora, słodki jéj uśmiech opromieniał twarz całą, co tak spokojna była w téj chwili, jak gdyby nigdy dotąd żaden wietrzyk przeciwny nie zamącił przejrzystego kryształu, w którym dojrzałeś myśl każdą, aż do dna jéj duszy. Czoło miała gładkie, a dwa warkocze kasztanowych włosów spadały na białe ramiona. Kiedy w jednéj ręce trzymała kwiaty, na drugiéj oparła piękną główkę i przypatrywała im się przez chwilę, poczém położyła je na stole i westchnęła smutnie, a po jéj czole niby lekki obłoczek, przebiegł cień zadumy. Obrazy nowego życia i nowych osób, które poznała, odbiły się i zarysowały w jéj młodocianym umyśle jaskrawo i wyraziście. Wprawdzie nie umiała sobie zdać jeszcze dokładnéj sprawy, z tego co widziała i słyszała teraz na dworze ojca, ale tém więcéj ważyła każde słowo w myśli, z wrodzonego popędu, właściwego naturze ludzkiéj, która im trudniejszą znajduje zagadkę, tém więcéj usiłuje dociec jéj znaczenia. A wiele i wiele plątało się w téj młodocianéj główce myśli, zanim jednę harmonijną ułożyły całość, jak te wyzłacane obłoczki na wieczorném niebie, co to rosną i maleją, mijają się, to znowu łączą, zanim jeden fantastyczny utworzą obraz. Któż zgadnie co mogło być przedmiotem tego jedynego obrazu, w którym wszystkie dziewczęcia skupiły się marzenia? Oto ani mniéj, ani więcéj, jeno postać rycerza księcia, o którym słyszała już dawno, bo jeszcze za życia matki przysłuchiwała się nieraz opowiadaniom o jego głośnych rycerskich

sprawach, w walkach przeciw poganom i o czci jaką jego odwaga budziła w krzyżowym zakonie. I teraz poznała go takim, jakim wydawał się jéj z opisu, z tém samém czołem wyniosłém i dumném, z temi wielkiemi niebieskiemi oczami, których blask tajemniczy przeszywał ją i trwożył. Ale trwoga któréj doznawała, łączyła się z uczuciem dziwnego a nieokreślonego uroku, rzekłbyś że to było uczucie zarazem zachwytu i grozy, którego doświadcza na szczytach gór wysokich wędrowiec, kiedy nagle krajobraz leżący pod jego stopami zamigoce wstęgami błyskawic i zahuczy gromem, bo ten widok nieznany, wspaniały a groźny podnosi go i upokarza zarazem. Równym też niepokojem, chociaż z pewną dumą zabiło serce dziewicy, skoro spotkały się jéj oczy ze wzrokiem rycerza, którego słynne a burzliwe przygody miały dla niéj urok wielkości i tajemnicy. I nie dziw że postać tego książęcego gościa, tak wyraźnie narysowała się w jéj myśli, iż mimowolnie jak sen uroczy przesuwała się w marzeniach.

*(D. c. n.)*

---

# PODRÓŻE BADACZA PRZYRODY PO ŚRODKOWÉJ AFRYCE.

(Dalszy ciąg.)

Za nadejściem nocy sądziłem że napotkam grubszą zwierzynę, mówiono mi nawet że nie trudno o gorille w tych stronach; nagle przewodnik mój położył palec na ustach i wskazując miejsce gdzie błyszczały dwa niby żarzące węgle, zawołał z cicha przerażonym głosem: lampart! Miałem już wystrzelić gdy przysunąwszy się bliżéj, rozpoznałem że wziął dwie świecące muchy za oczy tego strasznego zwierzęcia. Około drugiéj rano napotkaliśmy trzodę dzików; zabiłem największego z nich, reszta zaś rozpierzchła się szybko. Nazajutrz w wieczór król wydał ucztę na cześć mego przybycia. Uczestniczyli w niéj mężczyźni i kobiety całéj osady, szczęściem że odbywała się na świeżém powietrzu nie w zamkniętéj izbie, jak to miało miejsce niegdyś na przylądku Lopez. Mężczyźni stali po jednéj stronie, kobiety zaś po drugiéj. Gdy odezwały się hałaśliwe uderzenia *tam-tam* połączone z brzękiem starych, miedzianych, wywróconych do góry dnem kotłów i dzikiemi śpiewy, obecni ulegli dziwnemu wpływowi jaki ta muzyka wywiera na afrykańskie ludy. Rozpoczęli taniec w którym im głośniéj słyszeć się dawały dźwięki przeraźliwych instrumentów, tém więcéj mężczyźni przesadzali się w dziwacznych podskokach, kobiety zaś w nieprzystojnych gestach. Można sobie łatwo wyobrazić jak wielki zapas siły potrzebny jest muzykantom, zmieniali się też nieustannie omdlewając prawie z utrudzenia. Całe towarzystwo bawiło się najwyborniéj, w braku araku raczono się winem palmowém. Gdy jego królewska mość była już dobrze pijaną, rozpoczęła taniec z wielką uciechą obecnych. Za każdym skokiem monarchy kobiety pochylały się do ziemi, wyrażając mu w ten sposób swe uszanowanie, kotły zaś i tam-tam odzywały się coraz wściekléj. Po dwugodzinnéj męce wymknąłem się niepostrzeżony, niemogłem jednakże zasnąć dla hałasu, który trwał aż do dnia białego. Około południa zwiedziłem dwie chaty poświęcone dwóm bóstwom krajowym *Abambou* i *Mbouirri*, przewodniczył mi w téj pielgrzymce kapłan, który był wyrocznią całego kraju. Otworzył najpierw z uszanowaniem drzwi chaty Abambou i ujrzałem rozpalony wieczysty ogień w pośrodku, opodal nieco stała skrzynia, na niéj rozrzucone czerwone pióra i kawałki kredy, którą pobożni robili znaki na swém ciele. Abambou jest djabłem Kommisów, aby go ułagodzić i uczynić nie szkodliwym, poświęcają mu na ofiarę trzcinę cukrową, banany, pataty i t. p. Ludzie wolni składają swe dary na liściach, niewolnicy zaś na gołéj ziemi. Czasami ofiarodawca prosi bożyszcza, aby zgładziło jego nieprzyjaciół, najczęściéj zaś aby jemu samemu w niczém nie szkodziło. W chacie

Abambou stoi zawsze posłane łóżko, na wypadek gdyby bożek strudzony wędrówką po wybrzeżu chciał na niém odpocząć. Na nowiu księżyca najgłębsza cichość panuje w całéj wiosce, wszyscy bowiem mieszkańcy zasełają modły do swych opiekuńczych duchów. Mbuirri którego mieszkanie zwiedziłem następnie, jest pięknym i dobrym duchem, nieobawiają się psot jego, a zatem mniejszą daleko cześć mu oddają. Jest jeszcze trzeci duch, który lubo nie jest czczony, niemniéj przeto bywa groźny. Zowie się Owengoua, mieszka w niedostępnych kniejach i pożera ludzi których napotyka, to też murzyni za żadne skarby świata nie poszliby w nocy w pewne podejrzane o jego bytność miejsca. Opowiadają że były wypadki w których odważni strzelcy zabijali Owengoua'sów i palili ich natychmiast, gdyby bowiem pozostawili ciała tych potworów, wyrosłyby z nich nowe straszydła. Obejrzawszy chaty poświęcone bożyszczom, poszedłem zapolować na bawoły. Towarzyszył mi jeden z moich ludzi imieniem Zfouta, o mały włos nieprzypłacił on życiem tego polowania, bo rozwścieklony zwierz wyrzucił go w górę swemi rogami i gdyby nie celny strzał którym go ubiłem, byłby pewno zamordował w końcu swą ofiarę. Nazajutrz gdy miałem wychodzić na dalszą wycieczkę, król przyszedł mię pożegnać, murzyni którzy przed tem przyszli z kością słoniową którą mi chcieli zbyć skrycie, bardzo byli niezadowolnieni wizytą monarchy. Przyszło im na myśl aby go oddalić pod jakim bądź pozorem, jeden zatém z nich powiedział że ktoś w pałacu pragnie się widzieć z królem. Zaledwie wyszedł łatwowierny monarcha, ukończyliśmy czém prędzéj nasz handel, lecz nagle domyśliwszy się zapewne oszustwa, powrócił zagniewany i zaczął okładać grubym kijem przemyślnych kupców, co zmniejszyło znacznie radość któréj doznawali ze swego fortelu. Niektórzy z obitych porzucili nawet towary wzięte w zamian, aby się ratować prędzéj ucieczką. Powracając w stronę wioski Rampana przechodziliśmy około lasu w którym wedle mniemania moich przewodników przebywał duch kobiety warjatki, czychający na życie przechodniów. Przybyliśmy na spoczynek do wioski Makaya Ougiou. Rad byłem zatrzymać się w niéj dłużéj, raz aby okazać mą przyjaźń naczelnikowi który wspierał mię w kłótni z Sangalą, drugi raz aby zapolować na gorille przebywające w tych stronach, lecz spieszno mi było w dalszą podróż. Puściliśmy się tedy znów przez rzekę pod wieczór. Podróż na wodzie nocą nie jest nigdy zbyt przyjemna, tą razą o mało nieprzypłaciliśmy jéj drogo, napotkaliśmy bowiem stado wesołych hipopotamów, które tylko co łodzi naszéj niewywróciły. Powróciwszy do nowo urządzonego domu mego, zastałem wszystko w porządku za wyjątkiem że mieszkańcy Biagano opuścili swoje siedziby nad morzem, aby zbliżyć się ku mnie, co wyznaję że zaniepokoiło mię o moje kury i kozy; zaręczali że jedynie przywiązanie do mojéj osoby skłoniło ich do zmiany mieszkania, przekonałem się późniéj, że tęschnili tak za tytuniem któren posiadałem wtedy w obfitości, lecz niemieli przynajmniéj innych złych zamiarów. Dzień następny pamiętny został dla mnie wielką uciechą, strzelcy moi bowiem przynieśli mi w darze żywego małego gorilla. Zwierze złością i chytrością podobne było do starego lubo nie wyrównywało mu wzrostem. Zabito najpierw jego matkę, a potém złowiono w ten sposób młodego, że ścięto drzewo na które się schronił i narzucono go szybko płaszczem gdy upadł na ziemię. Pomimo tych środków ostrożności, mały potwór przegryzł niebezpiecznie rękę jednego ze strzelców. Rzucał się tak wściekle że nikt nie mógł się do niego zbliżyć. Przyprowadzono go uwiązanego za szyję pomiędzy widłami. Cała wieś wyległa aby oglądać tę małą poczwarę. Sporządzono na prędce mocną bambusową klatkę, w któréj ją obsadziliśmy. Mógłem się wtedy przypatrzeć méj zdobyczy. Gdy się zbliżyłem gorill rzucił się tak szybko ku mnie, że zanim zdołałem odskoczyć, już wyciągnął rękę przez kratę i poszarpał część mego ubrania. Ten napad uczynił mię ostrożniejszym, zacząłem się przyglądać zdaleka więźniowi. Siedział skulony w głębi klatki, jego siwe maleńkie oczy miały wyraz pełen złośliwości, w ogóle niepodobna sobie wystawić fizjonomji więcéj dzikiéj i ponuréj jak

u tego małego zwierzęcia. Kazałem mu rzucić do klatki liście i owoce leśne, zjadł je gdy wszyscy się oddalili. Nazajutrz zdawał się jeszcze więcéj zdziczały, wył przeraźliwie gdy się kto zbliżył do klatki i rzucał się wściekle, aby go dosięgnąć swemi szponami. Czwartego dnia wyrwał dwa szczeble i uciekł. Spostrzegłszy że go niema rozesłałem wszystkich murzynów na obławę da lasu, sam zaś postanowiłem niebawem połączyć się z niemi aby odzyskać mą zgubę. Pobiegłem szybko po strzelbę. Gdy ją miałem zdejmować ze ściany, głuche warczenie wychodzące z ciemnego kąta izby zwróciło moją uwagę. Obejrzałem się i dostrzegłem pana Joë (tak nazywałem mego gorilla) siedzącego z miną gniewną. Zwołałem natychmiast ludzi, lecz nikt nieśmiał do niego przystąpić on zaś zobaczywszy że jest otoczonym, wyskoczył aby się rzucić na nas, wszyscy wtedy uciekli za drzwi. Uradziliśmy tam wspólnie aby nagle zarzucić siatkę na rozłoszczonego gorilla, bo nikt nie miał ochoty narażać się na jego ukąszenia. Uwięziony niebawnie w ten sposób Joe, przeniesionym został do sporządzonéj klatki. Rzucał się tam, ciskał i ryczał jak wściekły i szarpał pręty chcąc je wyrwać z ziemi lecz nic niepomogło, musiał się więc zgodzić ze swym losem. Gdy uważałem dni następnych że go nic oswoić nie zdoła, sprobowałem czas jakiś jeść mu niedawać sądząc, że głód złagodzi może tę dziką naturę, lecz tyle tylko zyskałem że wygłodzony przychodził spokojnie brać z méj ręki pożywienie, przed tém zaś warczał i pokazywał zęby ilekroć mię spostrzegł. Pewnego dnia znów przegryzł pręty klatki i zaczął uciekać. Złapany został znów za pomocą siatki. Osądziłem tą razą że trzeba go będzie trzymać na łańcuszku. Trudno wypowiedzieć ile mieliśmy pracy za nim włożyliśmy mu obróżę na szyję. Łańcuszek przytwierdzony został do beczki napełnionéj do połowy sianem. Joe zrozumiał natychmiast, że beczka miała być jego legowiskiem. Wskoczył w siano i zanurzony w niém jak w pościeli, przykrywał się niby kołdrą garściami trawy. Od czasu jak był na łańcuchu, do całéj swéj złośliwości łączył jeszcze fałsz i przewrotność i tak nieraz gdy brał odemnie pożywienie, spoglądał mi prosto w oczy aby zwrócić moją uwagę, a tymczasem ściągał rękę skrycie, aby szarpać moją suknię, tak, że zbliżając się do niego używać musiałem tysiącznych środków ostrożności. Po dziesięciu dniach więzienia zachorzał nagle i lubo nietracił apetytu zdechł w krótkim czasie. Do ostatniéj chwili okazywał się niezdolnym do obłaskawienia. Wpadał w największą wściekłość na widok murzynów, co do mnie codziennie sam mu przynosiłem pożywienie, starał się jednak zawsze dokuczyć mi skrycie. Na pocieszenie po stracie gorilla zamierzyłem polować na hipopotamy. Wypłynęliśmy w dużym statku na rzekę w któréj zwykle przebywały, posunęliśmy się cicho ku całéj trzodzie, która właśnie w téj chwili wychyliła z wody swoje szkaradne głowy, z daleka wyglądały one jak pnie poczerniałego drzewa. Daliśmy ognia mierząc w uszy, jako w część ciała jedynie dostępną strzałem u hipopotamów, reszta albowiem skóry jest u nich jak wiadomo tak gruba, że kule jéj nieprzebiją. Cała trzoda dała natychmiast nurka, lecz troje zwierząt zostało na dnie. Nagle uczuliśmy silne wstrząśnienie naszego statku, uciekająca trzoda podpłynęła mimo chęci pod spód i zagroziła nam zatopieniem, poruszyliśmy szybko wiosłami, aby się wydostać z niemiłego położenia i w końcu wypłynęliśmy szczęśliwie na środek rzeki. Jedno tylko z zabitych zwierząt znaleźliśmy nazajutrz na mieliznie małéj zatoki gdzie je przyniosła woda. Sądzę że murzyni moi znaleźli także późniéj i drugie hipopotamy, lecz nic mi o tém niewspomnieli, niemając ochoty się niemi podzielić. Nieszczególnie ubawiwszy się tém polowaniem, umyśliłem zrobić drugą wyprawę na hipopotamy przy świetle księżyca, w nocy bowiem zwierzęta te wychodzą zazwyczaj na paszę. Rzeka Fernand-Vaz oddzielona jest od morza wązkim pasem ziemi na którym *konie rzeczne* spacerują. Jeżeli się zdarzy że były napadnięte przez myśliwych w miejscu zwyczajnych swych wycieczek, niewydalają się już w inne strony, co sprawia że ich łatwo znachodzić można. W piękną noc księżycową wraz z moim towarzyszem Igalą wy-

siedliśmy na téj łące przepłynąwszy rzekę. Uważaliśmy aby stanąć za wiatrem gdyż hipopotamy mają węch bardzo ostry, w nocy zaś najmniejsza rzecz je spłoszy, jak gdyby czuły że na lądzie są daleko mniéj bezpieczne z powodu utrudnionych poruszeń ogromnéj massy ciała. Ukryci za krzakiem słyszeliśmy ich pluski i warczenia w wodzie, lecz żaden na ląd niewychodził. Zaczynałem się bardzo niecierpliwić, bo księżyc pochylał się już ku zachodowi, gdy nagle ujrzałem nie daleko od siebie jedno z tych zwierząt olbrzymiéj wielkości. Podsunęliśmy się czołgając cicho. Zdarza się, że skaleczony hipopotam wpada na strzelców, potrzeba zatém strzelać do niego z tyłu, a potém uciekać czém prędzéj. Nie może się prędko obrócić, człowiek zatém polując w ten sposób może być przynajmniéj pewien, że mu uciec zdoła. Daliśmy razem ognia, poczém Igala zemknął szybko, co do mnie zaś pominąwszy, że niemiałem równéj wprawy w biegu, zatrzymałem się trochę, aby widzieć skutek strzałów naszych. Zwierze powaliło się zaraz na ziemię, niebyło więc niebezpieczeństwa. Igala łajał mię jednakże późniéj zato, ucieczka po strzale jest według niego konieczną regułą polowania na hipopotamy. Cała wieś uszczęśliwiona była naszą zdobyczą. Mięso hipopotamów podobne smakiem do wołowiny jest ulubioną potrawą krajowców. Oddałem go do ich rozporządzenia, zachowawszy dla siebie skórę, którą wypchać miałem. Wszystkie rzeki afrykańskie obfitują w te amfibje, za wyjątkiem Nilu, gdzie tylko w górnéj części pojawiają się niekiedy. Kolor ich skóry jest żółtawy i dość jasny, sierci nie mają wcale, oprócz nieco włosów około uszów i ogona. Kły które tak szpecą ich głowy są cenionym przedmiotem handlu równie jak kły słonia, służą im do wyrywania ziela z dna rzeki. Widywałem nieraz hipopotamy wynoszące na ląd pęki trawy rzecznéj i zjadające je spokojnie. Żywią się prócz tego niektóremi ziołami rosnącemi na lądzie. Skórę mają tak grubą że koło ucha jedynie przebić ją można kulą, rozraniają się jednak nieraz okropnie swemi potężnemi kłami, gdy zajdzie pomiędzy niemi nieporozumienie. Ukryty nad brzegiem rzeki byłem raz świadkiem walki dwóch hipopotamów; trudno wyobrazić sobie wściekłość tych przeciwników, zeszli dopiero z pola, gdy sobie zadali wzajemnie ciężkie bardzo razy. Głos ich zazwyczaj podobny jest mruczeniu trzody chlewnéj, gdy jednakże zapalone gniewem, wydają ryk przeraźliwy. Najchętniéj przebywają w wodzie lecz co dzień prawie na ląd wychodzą. Straszne bywają dla człowieka wtedy tylko gdy gniewne. Zdarzało się nieraz że przypadkowo podpłynąwszy pod mały statek wywracały go i rozbijały, przestraszone jednak tym wypadkiem, nic złego nie zrobiły ludziom, którzy ratowali się wpław ucieczką.

*(D. c. n.)*

---

## O UBIORACH.

W magazynie pani Adeli zwróciły uwagę naszą śliczne kapelusiki góralskie (chapeaux montagnards) dla młodych osób. Są one z czarnego kaszmiru ozdobione kolorowym aksamitem i piórem. Dla ciepła można do nich przyczepiać lekko u góry podwatowane szarfy. Kapelusze zwyczajnéj formy które tamże oglądałyśmy są znacznie mniéj wysokie po nad czołem, z wierzchu przystrojone zawsze nie na środku lecz z boku rądka. Suknie najwięcéj gładkie a jeżeli przystrojone, to nie zbyt suto Krój wogóle utrzymuje się jednaki, staniki pod szyję z baskinami lub gładkie do paska, rękawy zaś suche lub bardzo mało poszerzone, z ubraniem u ramienia i u ręki. U pani Włodkowskiéj widziałyśmy rozliczne garnirunki do dołu strojniejszych sukien, które starać się będziemy opisać czytelniczkom naszym. Suknia fijoletowa jedwabna n. p. miała każdy bryt przez środek naszyty pasem białéj blondyny podłożonéj czarnym fularem, u dołu dwie falbanki fijoletowe na cztery palce szerokie wycinane w ząbki, z pod których wychodziły znów ząbki czarne, od dwóch spodnich falbanek czar-

nych fularowych, tworzących niby podszewkę. Rękawy i stanik tejże sukni ubrane były również białą blondyną podłożoną czarno. Suknia szafirowa fularowa była do kolan tylko krótka, wycinana w zęby szpiczaste, z pod których wychodził wolant na trzy ćwierci łokcia szeroki dopełniający długości spódnicy; wolant i zęby obszyte były trzy razy w niewielkich odstępach wąziutką pasmanterją czarną ozdobioną stalowemi perełkami. Rękawy i przód stanika przystrajała taż sama pasmanterja. Suknia ciemna orzechowa koloru *Havanne* miała spódnicę oszytą trzy razy u dołu czarną aksamitką na dwa palce szeroką, z téjże saméj aksamitki na każdym brycie szły w górę na łokieć długie trzy szczebelki, niby przekreślane po sześć razy także aksamitką. Inna znów suknia blado lilla, miała od saméj góry na każdym brycie niby widełki z czarnéj aksamitki niedochodząc do dołu oszytego kratką również aksamitną. Popielata wełniana suknia wystrojoną była pięcioma rzędami mijanych po nad sobą trójkącików czarnych aksamitnych, czarna zaś popelinowa miała jeden bryt zdobiony falbaną drugi znów prostemi szczebelkami z aksamitu wyższemi i niższemi na przemian. Widziałyśmy u jednéj z wyżéj opisanych sukien rękaw zwyczajnego wązkiego kroju, bardzo ładnie przyozdobiony u góry i u dołu szeroką klapką aksamitną prosto uciętą i spinaną na rząd drobnych świecących guziczków. Klapka ta zarazem u dołu jak u góry rękawa miała u końca spięcia po jednym rożku odwiniętym i podszytym także aksamitem. Pokazywała nam pani Włodkowska bardzo ładne nowego pomysłu kwiaty z konchy perłowéj wyrabiane w Paryżu. Na niektórych listkach czepiały się maleńkie muszki togoż koloru. Bratki i róże szczególniej nam się podobały. Cena jednego takiego bukiecika złp. 20. Francuzki mają ciągle pełno wynalazków różnego rodzaju, aby strój zarówno ozdobnym jak oryginalnym uczynić. Korrespondentka nasza z Paryża donosiła nam, że w tym roku szczególniéj weszły tam w użycie, już od lat dwóch znane ozdoby do sukien balowych z małych ptaszków i owadów. Widziała n. p. suknię z białéj krepy strojną pękami trawek wśród których siedziały pawie wielkości kolibrów, inną znów zdobiły chrząszcze, a na innéj jeszcze różnobarwne motyle wychylały się z kielichów kwiatów podpinających wolanty. Któraś z gazet niemieckich opisuje tego rodzaju ubiór księżny Metternich, na jednym z niedawno wydanych balów dworskich. Księżna miała suknię z białéj krepy całą zasianą jaskółkami, ogon jaskółczy zakończał plecy stanika nakształt baskiny, skrzydła spadały z ramion jak epolety, na głowie zaś wśród pęku liści tkwiła z boku jaskółka. Ale wróćmy do ubiorów u nas używanych. Oglądałyśmy jeszcze u pani Włodkowskiéj różne ładne kapelusze zwyczajnego fasonu, strojne najwięcéj pod spodem pękami grubego aksamitnego owsa. Śliczne czepeczki dla osób starszych po rs. 5, chusteczki na głowę włóczkowe białe z oszyciem kolorowym po złp. 18 i paletocik nowego paryzkiego fasonu naśladujący surdut męzki krojem. Paltocik ten w zimie nosić można w pokoju, na wiosnę zaś na ulicy. Okrągłe kapelusze doskonale przypadają do tego rodzaju okrycia. Spódniczki kolorowe w miejscu szlaków zdobią teraz czasami u dołu dla odmiany w bufki (crevé) odmiennego koloru, bufki te idą skośno lub też otaczają całą spódnicę tworząc rodzaj wody. Spódniczka taka uszyta kosztuje złp. 50. U pana Thonnesa jest mnóstwo bardzo ładnych bluzek z szafirowego, amarantowego i fjoletowego kaszmiru, naszywanych czarną pasmanterją mieszaną z czarnemi paciorkami; bluzki te droższe są aniżeli były czarne tego rodzaju gdyż kosztują po złp. 50 jedna. Mówiąc o spódniczkach nadmienić jeszcze musimy, że podnosząc suknię wierzchnią na ulicy, nie należy jéj drapować w regularne festony, jak to czynią niektóre osoby, lecz powinna być podniesiona z niechcenia w jednéni miejscu mniéj w drugiém więcéj, jak się sama ułoży jeżeli jest zciągnięta na sznurki, które dla tego niepowinny być przyszywane w równéj odległości na brytach, lecz tylko w kilku miejscach, w różnych odstępach.

### Objaśnienie tablicy rysunków.

Ner 1. Plecy stanika pocztyljońskiego.
„ 2. Przód stanika.
„ 3. Boczek.
„ 4. Rękaw.
„ 5. do 9. Figury zwyczajnych staników i bluz.
„ 10. do 33. Tarcze, cyfry większe i mniejsze do poszewek, stołowéj bielizny i chustek do nosa.
„ 34. do 35. Rogi chustek od nosa.
„ 36. — 37. — 38. Szlarki do kaftaników rannych.
„ 39. Wstawka do kaftaników.
„ 40. Bukiecik.
„ 41. Kaftanik włóczkowy na drutach do noszenia w zimie w miejscu szmizetki. Do zrobienia tego kaftanika trzeba włóczki białéj funt i trzy ćwierci, czarnéj ćwierć funta i dwa długie średniéj grubości druty. Nabierz oczek 366 i rób na przemian trzy oczka zwykłe, trzy oczka dróżką, w drugim rzędzie

na oczkach dróżkowych rób zwykłe, a na zwykłych dróżkowe, zachowaj ten porządek choć będziesz gubić, żeby były akuratne paski. Przerób 8 rzędów białą włóczką, następnie 2 czarną, 6 białą i jeszcze 2 czarną. Przez rozliczenie, rób plecki i boczki w ten sposób: W pośrodku całéj szerokości policz oczek 6 z obu stron, tych 6 oczek będziesz co drugi drut gubić po jedném oczku, od tych 6 oczek na obie strony odlicz oczek 82, następnie 6 tak z jednéj, jak z drugiéj strony, to wszystko utworzy boczki razem z plecami, przy których będziesz także gubić, tym sposobem będzie gubienie w trzech punktach, z dwóch stron 6 czyli oczek 12, reszta zostaje na przody. Mówiło się powyżéj o dwóch rzędach czarną włóczką, zrób jeszcze gubiąc rzędów 6 i już odłóż na bok włóczkę czarną, bo będziesz robić tylko białą. Spuść na początku i przy końcu druta oczek 4, rób rzędów 10 gubiąc powyżéj opisanym sposobem, to jest co drugi drut, po 10 rzędach będziesz gubić co trzeci drut, a po 9 gubieniach przestaniesz gubić, aż do 97 rzędów. Teraz zacznij przybierać w tym samym porządku, to jest w trzech punktach z pozostawieniem 6 oczek środkowych, stanowiących plecy i 2 boczki. Jednak ta jeszcze zachodzi różnica, że poczniesz najprzód gubić tylko z dwóch stron przeznaczonych na plecy, dopiero po 16 rzędach gubiąc co drugi drut, zaczniesz gubić i w boczkach, do rzędów 19 i tym sposobem będziesz miała w plecach zgubionych 16, w boczkach 6 zgubionych; już teraz przestaniesz gubić i zrobisz do 200 rzędów w całkowitości. Teraz odłącz plecy od przodów to będzie pacha. Spuść 5 do 6 oczek środkowych, przy których było przybieranie i podziel całość na 3 części przeznaczając na plecy i 2 przody; na plecy przerób rzędów 130 a 120 na 2 przody, dodaj 4 oczek zastępując te, które spuściłaś, złącz przody z plecami bo będziesz gubić na ramieniu. Te gubienia będą w tym samym porządku co i tamte, to jest pozostawisz we środku te 4 przybrane i jeszcze dwa sąsiednie i będziesz gubić po obu stronach tych 6 oczek, z tą tylko różnicą że od strony przodu trzeba gubić co trzeci rząd, a od strony pleców co 4 rząd, aż do rzędów 74, jednak przy dwunastym rzędzie zaczniesz już szyjkę, spuścisz (ma się rozumieć) na każdéj stronie 4 oczek, potém 3 rzędy bez spuszczenia, za czwartym spuścisz 3 i tak daléj, potém 2 i jedno aż zostanie oczek 4, które spuścisz i zakończysz.

Szlak do przodów robi się oddzielnie i przyszywa. Do zrobienia nabierz oczek 158 włóczką czarną i rób 2 rzędy czarne 6 białych i znów 2 czarne. Przy drugim szlaku robią się dziurki do guzików w ten sposób, że spuścisz oczek 4 i znów nabierzesz przy drugim rzędzie na sześć guzików. Do rękawa nabierz tyle oczek ile jest w pasze i trzeba przy początku i końcu druta przybierać po 1 oczku do 15 rzędów potém zrobić trzeba rzędów 50 bez przybierania, potém 3 gubiąc po jednėm oczku na obu końcach druta. w końcu bez gubienia aż do długości rękawa; na naszym wzorze jest rzędów 115 po których trzeba złączyć rękaw.

Cały kaftanik otoczony jest szydełkowym ściegiem z białéj włóczki, któren zabezpiecza go od rozciągania się, na tym ściegu dla ozdoby można zrobić szlaczek czarną włóczką zakończony ząbkami, lub oszyć go do koła koroneczką na drutach robioną.

Ner 42. do 43. Pasek pocztylioński od przodu i tyłu.

„ 44. do 50. Cyfry i imiona.

„ 51. do 54. Szlarki.

„ 55. Wstawka tasiemeczką wyszyta.

„ 56. Czwarta część czapeczki męzkiéj aksamitnéj. Aplikacja ze skóry, arabesk złotą tasiemeczką.

„ 57. Zasłona przed Najświętszy Sakrament (ombraculum). Na białéj materji aplikacja z aksamitu. Bratki fjoletowe, liście zielone, obwód liści i kwiatów cienką sznelką, żyłki u bratków i cyfry w pośrodku złotem.



Moine Imp. r. St Louis en l'Ile 90. Paris

1085

# KÓŁKO DOMOWE

Luty. 1864

**KÓŁKO DOMOWE**

*na Miesiąc Luty r. 1864.*

